110

POEZYJE

Ks. KAROLA ANTONIEWICZA.

POPRZEDZONE

KRÓTKĄ WIADOMOŚCIĄ O ŻYCIU I PISMACH

AUTORA.

Na korzyść zakładu ś. Józefa osieroconych chłopców.

W KRAKOWIE,

Czcionkami drukarni „Czasu.“

1861.

I.

KILKA SŁÓW

O ŻYCIU I PISMACH

Ks. Karola Antoniewicza.

Wyższe zdolności, świetne talenta, głęboka nauka mozolną pracą nabyta słusznie zyskują oklaski i wziętość. Jeżeli jednak z tém umysłowém bogactwem nie łączą się nierównie cenniejsze przymioty duszy, przebrzmi z czasem i najgłośniejsza sława, zwiędną laury na czole chwilowego jéj ulubieńca, a imię jego w niepamięci zatonie. Ten jedynie ma prawo do powszechnéj wdzięczności i trwałéj pamięci, kto nieskażoną cnotą jaśniał przez całe życie, kto wszystkie swe myśli i czyny dobru współbraci poświęcał. Stwórca bowiem dał nam wrodzone zamiłowanie cnoty i cześć dla niéj w sercach naszych zaszczepił. Ten nawet, kto zboczył z prostéj drogi, jeżeli tylko nie stał się jeszcze całkiem przewrotnym, uszanuje w drugim

prawość; sam niezdolny do cnoty cenić jednak będzie cnotliwych. Pomimowolnie prawie wszędzie szukamy téj córy nieba, wszędziebyśmy znaleść ją radzi, a jéj świętego uroku nic nam zastąpić nie zdoła.

Jakkolwiek według przyjętego powszechnie i licznemi przykładami stwierdzonego zdania estetyków, moralna wartość człowieka nie ma wpływu na utwory sztuki będące owocem chwilowego natchnienia, my jednak wiedzieni inném uczuciem chcielibyśmy zawsze widzieć w życiu autora urzeczywistnienie głoszonych przez niego zasad, a każda sprzeczność w tym względzie pomimowolnie przykre na nas czyni wrażenie i osłabia wpływ najwznioślejszych, najpiękniéj wypowiedzianych pomysłów. Przeciwnie jakaż to radość, jakie słodkie zadowolenie napełnia serce, gdy z uznaniem talentu autora, z upodobaniem w płodach jego pióra możemy połączyć szacunek dla człowieka. Wtenczas każde słowo jego podwójnéj nabiera wagi, zdania i myśli ryją się w sercu głęboko i stają się życia prawidłem.

Taki to wpływ wywierają na nas wszystkie pisma ś. p. ks. Antoniewicza, którego imię otoczone czcią, miłością, uwielbieniem i wdzięcznością narodu jaśnieje jak świetna gwiazda wpośród chmur czarnych i groźnych, które nad ziemią naszą zawisły w przeciągu ostatnich lat kilkunastu i gromem klęsk rozlicznych rozdarły jéj łono. Sądzę przeto, że zbiór poezyj tego pełnego talentu, cnót i zasług kapłana, który podaję obecnie czytelnikom, miłym dla nich będzie upominkiem nietylko ze względu istotnych zalet cechujących te utwory, ale oraz jako wierne odbicie uczuć, akiemi tchnęła dusza ich autora przez cały ciąg niestety nazbyt krótkiego żywota.

Czytając te pierwsze natchnienia z lat jego młodzieńczych, echa późniejszych cierpień i anielskich uczuć dźwięki, poznamy całą piękność téj duszy doświadczonéj w ogniu boleści, pełnéj wiary, miłości, pokoju, to serce tak tkliwe, tak żywo czuć umiejące niedolą współbraci i zawsze gotowe nieść im pociechę i ulgę; poznamy tém samém źródło tych nadludzkich wysileń, tych prac i po-

święceń ofiarą życia okupionych. Tak więc stanie przed oczyma naszemi w całym uroku i niebiańskim blasku święta postać ubogiego zakonnika, co jak anioł pocieszyciel rozpościerał opiekuńcze skrzydła nad rodzinną ziemią, a choć w zimnym spoczął grobie, nie przestaje przyświecać jéj przykładem i nauką złożoną żywém słowem w sercach rodaków, lub w licznych przekazaną im pismach.

Tkliwe mowy pogrzebowe na cześć ś. p. ks. Antoniewicza, pisma czasowe i dzieła poświęcone życiorysom znakomitych mężów, podały już niejednokrotnie szczegóły tego pełnego zasług żywota; jednak przy niniejszém wydaniu poezyj uważałam za stósowne umieścić krótki rys prawdziwie świętego zawodu ich autora w przekonaniu, że ta skromna gałązka rzucona na mogiłę zroszoną łzami powszechnego żalu i wdzięczności, rzewne wspomnienia wywoła w sercach tych wszystkich, co znali za życia tego znakomitego kapłana, lub przynajmniéj o pracach i zasługach jego słyszeli.

Ks. Karol Bołoz Antoniewicz, potomek zacnéj rodziny ormiańskiéj, urodził się we Lwowie d. 6go listopada 1807 r. z Józefa Antoniewicza i Józefy Nikorowiczowny. W r. 1818 rodzice jego przenieśli się do dóbr swoich Skwarzawy w obwodzie żółkiewskim. Ojca wkrótce utracił; ale pozostała mu matka, anioł jego opiekuńczy, którą on nieraz potém drugą Moniką nazywał, dla któréj najtkliwszą miłość, wdzięczność i uwielbienie do zgonu zachował. Onato spełniając powołanie swoje jak na matkę chrześciańską i obywatelkę przystało, rzuciła w serce ukochanego syna nasiona cnót najpiękniejszych; pod jéj troskliwém okiem rozwijały się i wzrastały szybko wielkie zdolności okazujące się w nim od dzieciństwa; jéj był on winien tę żywą wiarę, tę prostotę serca, tę szczerą pobożność, tę tkliwość i rzewność, jaka życie jego zdobiła. Wyższe nauki pobierał młody Karol w uniwersytecie lwowskim nie zaniedbując niczego, co tylko umysł jego wykształcić mogło. Mając wielką łatwość w uczeniu się obcych języków, przyswoił ich sobie kilka, a mia-

nowicie łaciński, francuski, włoski, angielski i niemiecki. Muzykę lubił namiętnie i bardzo w niéj był biegłym. W szlachetnéj i żywo czującéj duszy młodzieńca odezwało się także i poetyczne natchnienie, którego pierwsze kwiaty ukazały się jużto w osobnych wydaniach, już w pismach peryodycznych lwowskich.

Troskliwa matka chcąc czuwać zbliska nad każdym krokiem ukochanego syna w tych pierwszych a najniebezpieczniejszych latach młodości, mieszkała we Lwowie przez cały czas pobytu jego w tém mieście. Widziała ona z radością, jak zarody cnoty zaszczepione w dziecinném sercu Karola obfite przynosiły owoce. Na dowód jego dobroci i miłosierdzia już w tak wczesnéj objawiających się młodości, jedno tylko przytoczę zdarzenie. Przechadzając się pewnego razu w porze zimowéj po wałach zamkowych we Lwowie, napotkał kilkoletniego sierotę umierającego prawie z głodu i zimna. Wzruszony litością okrył własnym płaszczem biednego chłopca, a wziąwszy z sobą do domu nietylko go żywił i odzie-

wał, ale sam zajmował się jego nauką. Sierota ten tak się przywiązał do swego dobroczyńcy, że na krok odstąpić go nie chciał i towarzyszył wszędzie, nawet na pola bitew, gdzie go śmierć z ukochanym rozłączyła opiekunem.

Mało kogo zaiste tak hojnie obdarzyła Opatrzność swemi darami, jak młodego Antoniewicza. Najszlachetniejsze przymioty duszy i serca, wykształcenie umysłowe, talenta, piękne imię, majątek, ujmująca powierzchowność, słowem wszystkie ziemskiego szczęścia warunki łączyły się w osobie jego, zdobiąc teraźniejszość całym urokiem światowego blasku, a przyszłość w świetniejszych jeszcze ukazując barwach. Pomimo to wielkość światowa nie nęciła go wcale; nie pragnął zaszczytów, wyniesienia i sławy, a serce jego ogarniała chwilami jakaś niepojęta tęsknota za wyższém, duchowém szczęściem. Powołanie zakonne już wtenczas odzywało się w głębi duszy jego, jak to sam późniéj kilkakrotnie w swych pismach wyznawał. Ale świat zbyt wielkie miał jeszcze dla niego powaby, zbyt łudzącemi uśmie-

chał się nadziejami, by mógł odrzucić wszystkie jego ponęty i zapragnąć stanowczo tego szczęścia, które wykwita dopiero na gruzach ziemskich rozkoszy i złudzeń, jak biała lilia na grobie. Umilkł téż wkrótce ów głos tajemniczy, a młodzieniec z sercem pełném najszlachetniejszych zamiarów, z gorącém pragnieniem służenia krajowi, z zapałem i nadzieją, dalszą życia postępował drogą.

Po skończonych chlubnie naukach powrócił Antoniewicz w wiejskie ustronie swoje. Powziąwszy myśl napisania historyi Ormian, w. r. 1828 udał się do Jass, gdzie miał bliskich krewnych, i zaczął gromadzić potrzebne do przedsięwziętéj pracy materyały. Jakkolwiek zamiar ten nieprzyszedł do skutku, daje on przecież chlubne świadectwo temu, który w tak młodym wieku o tak poważnéj i użytecznéj zamyślał pracy. Wkrótce nadarzyła mu się sposobność okazania czynem przywiązania swego do téj ziemi, na któréj się urodził i wychował. Był to rok 1831. Szczęk oręża, okrzyk wojenny brzmiący nad Wisłą, roz-

głośném echem po podolskich rozległ się niwach. Zaledwie go posłyszał młody Karol, pożegnał ukochaną matkę i stanął w bratnich szeregach. Odbył tę kampanią służąc przy konnicy w korpusie Dwernickiego. Tu cudem prawie uszedł śmierci. W czasie bowiem obozowania pomienionego korpusu na Podolu, dowódzca powracając nocą do obozu z czterema jeźdzcami, pomiędzy którymi był Antoniewicz, zabłądził i dwom wieśniakom zatrzymanym na drodze prowadzić się kazał; ci zdradziecko oddali ich w ręce nieprzyjaciół, którzy wszystkich pozabijali. Karol jedynie instynktowi swego konia winien był ocalenie. Znużony długim niewczasem zdrzymnął się na siodle i pozostał znacznie za swymi towarzyszami; koń idąc zwolna zwrócił się na uboczną drogę i trafił do obozu polskiego.

Smutny, złamany, zawiedziony w najsłodszych nadziejach, powrócił Antoniewicz w domowe zacisze, a nie zrażony bynajmniéj w szlachetnych chęciach służenia ziemi rodzinnéj, obrał sobie

cichy, skromny, lecz szerokie pole do użytecznéj pracy przedstawiający zawód obywatelski.

W r. 1832 ożenił się ze swą wujeczną siostrą Zofią Nikorowiczówną, którą pokochał z całym zapałem młodzieńczym dla rzadkich serca przymiotów. Młode małżeństwo złączone węzłem wzajemnéj miłości, otoczone szacunkiem i przychylnością krewnych i sąsiadów, przywiązaniem i wdzięcznością poddanych włościan, zaczęło snuć wesoło złote pasmo domowego szczęścia, któremu słodkie rodzicielskie uczucia nowego dodawały wdzięku.

Ale niestety! Był to tylko piękny poranek dnia posępnego i burzliwego. Szczęście ziemskie nie miało być udziałem Zofii i Karola; wieniec cierniowy opasał wkrótce ich czoła, doznali największéj boleści, jakiéj w tém życiu doświadczyć można. Każdą dzieciną zaledwie kilka cieszyli się miesięcy, bo każda jak kwiat kosą podcięty więdniała i nikła w ich oczach, goryczą rodzicielskie napełniając serca. Tak srogiém nawiedzani nieszczęściem nie szemrali przeciw niezba-

danym wyrokom Opatrzności, a zamiast oddać się rozpaczy lub w światowych uciechach szukać chwilowego zapomnienia strat swych bolesnych, w pokornem poddaniu się woli Boga i miłosiernych uczynkach czerpali pociechę i nadzieję szczęśliwszéj przyszłości. Dom ich stał się przytułkiem chorych i nieszczęśliwych, których pocieszali, opatrywali, pielęgnowali z najczulszą troskliwością. skracając im długie godziny bezsenności i cierpienia to rozmową pełną dobroci, to śpiewaniem pieśni nabożnych. Podzielając z najżywszém współczuciem cierpienia bliźnich, ocierając łzy ich, niosąc im ulgę i wsparcie, doznawali sami pociechy spływającéj jakby kojący balsam w ich serca boleścią znękane.

Już cztery mogiłki usypali nieszczęśliwi rodzice na cmentarzu wioski rodzinnéj, już z tego gronka aniołków, w których całą swą miłość i szczęście złożyli, jedna tylko pozostała dziecina, ostatnia ich ziemska pociecha. Ale napróżno porzucają dom swój, niegdyś szczęścia siedlisko, a dziś grobowym smutku obleczony całunem, napróżno

chronią się ze swym skarbem do Lwowa; i tam ściga ich śmierć i tę ostatnią wydziera nadzieję. Biedna matka chrześciańskiém męstwem zwalczając boleść rozdzierającą jéj duszę i tłumiąc żal własny, znajdowała jeszcze słowa pociechy dla rozpaczającego męża, bo ona „wtenczas najlepiéj pocieszać umiała, gdy ją najwięcéj bolało.“ (1). Ale serce jéj tylu ciosami zranione już przenieść nie mogło straty ostatniego dziecięcia; zdrowie słabnące zwolna wśród tak dotkliwych cierpień, uległo nakoniec pod tą ostatnią boleścią; zapadła w suchoty. Daremne były usiłowania najbieglejszych lekarzy i najtkliwsze nieszczęśliwego męża starania; żadna moc ludzka nie mogła już utrzymać gasnącego życia. Zofia i Karol tym nowym zagrożeni ciosem, szukają ratunku w niebie, ślubując uroczyście, że jeżeli śmierć ich nie rozłączy, wstąpią oboje do klasztoru, ona do sióstr miłosierdzia, on zaś do Towarzystwa Jezusowego. Lecz i téj pociechy za wiele było dla tego, który tu na ziemi miał spełnić do dna kielich goryczy. Zofia umarła d. 31 lipca 1839 r. po wielkich

cierpieniach, które ani na chwilę nie zdołały jéj odjąć anielskiéj słodyczy i pokoju duszy, a czarna córki ś. Wincentego sukienka była jéj szatą śmiertelną.

Tak więc z całego szczęścia, które Antoniewiczowi pierwsze kroki życia kwiatami usłało, pozostała smutna ruina, kilka drogich mogił, na których klęczał teraz sam jeden, z sercem osieroconém, obumarłém w boleści, z okiem wypłakaném, którego już nawet nie wilżyła łza ulgę niosąca. Ale w téj strasznéj puszczy, jaką świat został dla niego, w téj grobowéj ciszy, jaka go otaczała, posłyszał głos boży wzywający go do stóp krzyża, ujrzał na niebie czarnemi chmurami okrytém wschodzącą nowego życia jutrzenkę. Zrozumiał on ten głos i poszedł za nim bez wahania. Pożegnał nazawsze wioskę rodzinną, miejsce wspomnień ubiegłego szczęścia i przecierpianych bolów, złożył na piersiach dzienniczek ręką żony pisany jako najdroższą po niéj pamiątkę i z błogosławieństwem ukochanéj matki, która w klasztorném zaciszu (2) przetrwała wszystkie

ciosy raniące serce jéj syna, a zatem i jéj własne, wstąpił do nowicyatu Jezuitów w Staréj Wsi d. 10 września 1839 (3). Z pokorą i prostotą dziecięcia poddał się ostréj regule zakonu, a oczyszczony chrztem łez i boleści ze wszystkich ziemskich pragnień i złudzeń, tutaj nowém odrodził się życiem; tu zagoiły się głębokie rany serca jego i pokój wpłynął w skołataną duszę. Przeszłość złożył Bogu w ofierze, przyszłość w ręce jego poruczył, Bóg został odtąd jedyną nadzieją, miłością i pociechą jego; ludzkość całą, a szczególniéj współrodaków swoich jakby jednę wielką rodzinę przytulił do zbolałego serca; ich dobru, ich zbawieniu swe siły i życie poświęcić postanowił. Pracą, modlitwą i nieustanną walką z sobą samym sposobił się do godnego spełnienia świętego i wzniosłego powołania kapłana, a Bóg widocznie mu błogosławił udzielając pokoju i swobody ducha, których napróżno szukał wśród świata, a które teraz anielską pogodą rozjaśniły tylą troskami zorane czoło.

Jego łagodność, pokora, posłuszeństwo zniewałały ku niemu wszystkie serca, a oraz wzbudzały powszechny podziw i uwielbienie. W kilka tygodni po wstąpieniu do zakonu obrany przełożonym nowicyuszów, wpływał na nich najzbawienniéj przykładem swoim, był kochany i szanowany jak ojciec. W chwilach wolnych od zatrudnień szukał rozrywki w muzyce; układał tkliwe i rzewne melodye, pisał pieśni, które potém nowicyusze śpiewali w kaplicy klasztornéj. Niektóre z tych pieśni, zwłaszcza na Boże Narodzenie i Trzy Króle upowszechniły się nawet pomiędzy okolicznym ludem.

Gdy po dwóch latach nowicyatu nadeszła chwila złożenia ślubów zakonnych, rozporządził znacznym majątkiem w części ustępując go krewnym, resztą zaś przeznaczając na cele dobroczynne, jakoto zapewnienie losu wiernym sługom, wsparcie ubogich, a nakoniec sprowadzenie z Francyi do Lwowa zakonnic Serca Jezusowego trudniących się wychowaniem, do czego znacznie się przyczynił.

W pięć lat po przyjęciu sukni zakonnéj odebrał Karol Antoniewicz kapłańskie święcenie w Nowym Sączu d. 10 września 1844. Już w r. 1845 nowy kapłan dał się poznać z wymowy i gorliwości przy zaprowadzaniu bractwa wstrzemięźliwości w Galicyi; pierwszém atoli obszerniejszém polem apostolskiéj jego pracy i zaiste najpiękniejszym kwiatem w wieńcu zasług jego były misye wiejskie odbyte po krwawych wypadkach 1846 r. w obwodach tarnowskim, bocheńskim i sandeckim. Z ufnością w Bogu, z poświęceniem bez granic szedł on pomiędzy lud obłąkany zbrodnią i rozpaczą, a niezrażony obelgami, potwarzą i pogróżkami, na jakie był wystawiony, przywodził występnych do upamiętania i żalu słowem potężném, natchnioném miłością, którego mocy najtwardsze serca oprzeć się nie umiały. Był on zarazem aniołem pociechy dla nieszczęśliwych wdów i sierót, koił bolesne rany ich sercu zadane, nakłaniał do przebaczenia krzywd srogich, jednał i godził dzieci wspólnéj matki, które rozdzielał teraz strumień krwi niewinnéj. Nie tu

miejsce rozwodzić się nad misyami temi, tym bardziéj, że sam ks. Karol skreślił nam ich szczegóły (4). Aby jednak dać miarę jego poświęcenia i gorliwości, nadmieniam, że w ciągu sześciomiesięcznego ich trwania powiedział dwieście kilkadziesiąt nauk, napracował się, natrudził tak, że zapadł na piersi i z wiosną 1847 r. musiał udać się w góry dla poratowania zdrowia. Ci, którym znane listy jego (5), przypomną sobie zapewne, jak pięknie, tkliwie i rzewnie opisał swój pobyt w Pasiecznéj, osadzie huculskiéj, z jaką miłością mówi o tym biednym, zaniedbanym ludzie, który go nawzajem pokochał serdecznie, jak pragnął pozostać z nim nazawsze, oświecać go, pocieszać i zapomniany od świata złożyć kości na ubogim góralskiéj wioski cmentarzu.

Nie spełniły się te skromne życzenia, Bóg bowiem chciał, aby ta jasna gwiazda szerszy oświeciła widnokrąg. Przybywszy do Lwowa oddał się najgorliwiéj obowiązkom kapłańskim, pracując we dnie i w nocy nad poprawą i zbawieniem bliźnich. Wymowa jego jaśniejąca żywą wiarą,

tchnąca najgorętszą miłością Boga, pełna przekonywającéj mocy, a zarazem niewysłowionego wdzięku i serdecznéj rzewnéj prostoty, ściągała tłumy słuchaczy wszelkich klas na kazania zastósowane zawsze do pojęcia i potrzeb tak wyżéj ukształconych, jako i ubogich prostaczków. W mowach przygodnych z téj epoki obok zdumiewającéj siły wyrażeń uderzają nas młodzieńczy zapał, myśli wzniosłe, gorąca a dobrze zrozumiana miłość ojczyzny, którą kochał „zaraz po Bogu“ (6), i ten urok poetyczny, który słowa jego niewypowiedzianym ozdabiał wdziękiem.

Wśród tych prac apostolskich mających głównie na celu uświęcenie, zwrócenie na prawdziwą drogę usiłowań i nadziei budzących podówczas powszechne zajęcie, cios nowy ugodził w serce ks. Antoniewicza. Było nim rozprószenie zakonu Jezuitów w roku 1848. Złamany tą przeciwnością, ze łzami żalu za utraconym pokojem klasztornym, ale zarazem z pokorném poddaniem się téj nowéj próbie, dzielił los towarzyszów swoich, tułając się to w kraju, to za granicą. W maju

1849 r. spędził dni kilka w Krakowie, szukając pociechy i wsparcia w modlitwie przy grobach świętych Polaków i Polek, znajdujących się w kościołach naszego miasta. Stąd udał się do Szląska, gdzie bawił czas jakiś to w Grefenbergu w kąpielach, to w Piekarach niemieckich. Za jego staraniem i zachętą powstała ochronka dla dzieci w miasteczku Freiwaldau w pobliżu Grefenbergu. Stęskniony za ojczystém powietrzem i rodzinną mową, powrócił znowu do Galicyi, a zawsze jedna i taż sama miłość Boga i bliźnich, jedna i taż sama chęć stania się im użytecznym, przewodniczyła wszystkim krokom jego.

W pierwszych latach apostolstwa swego zbliżony do wiejskiego ludu pokochał go ojcowskiém sercem i jemu szczególniéj poświęcić się postanowił. Ale miłość ta nie była ślepą; znał on aż nadto dobrze wady i złe skłonności w nim zakorzenione, i te wytępiać i prostować usiłował. Widząc, że pierwszą przyczyną zepsucia wieśniaków naszych, które tak opłakane wydało skutki, jest głównie nieznajomość prawdziwego ducha

religii naszéj i wypływających z niéj zasad moralności, wykładał im tę świętą naukę w najrozmaitszy sposób, jużto w pamiątkach jubileuszowych i misyjnych, już w czytaniach świątecznych, w żywotach świętych, powiastkach, drogach krzyżowych i t. p., a zawsze z dziwną i pełną wdzięku prostotą. Miał on szczególny a rzadki dar tłumaczenia prawd najwznioślejszych w sposób przystępny dla każdego wieku i stanu; umiał się zniżyć do pojęcia prostego ludu, nie wpadając w zwykłą ostateczność będącą skutkiem podobnych usiłowań, to jest pospolite i prostacze wyrażenia. Owszem we wszystkich powyżéj przytoczonych pismach ujmuje nas nieporównany wdzięk, jasność, trafność a nawet wzniosłość poetyczna w porównaniach, jakich zwykle używał dla lepszego wyłożenia myśli swojéj. To téż każdą z tych książeczek przeznaczonych głównie dla wiejskiego ludu można czytać z upodobaniem i pożytkiem, wyjąwszy naturalnie ustępy wyłącznie do wieśniaków zastósowane. Dziś trudno nawet policzyć te drobne pisemka, które jak zdro-

we ziarno zbawiennéj nauki rozsiały się pomiędzy polskim ludem i prędzéj czy później obfity plon przyniosą.

W r. 1850 Kraków nasz stary powitał w swych murach ks. Antoniewicza, powitał go w téj bolesnéj chwili, kiedy straszliwy pożar zniszczył w paru godzinach drogie świetnéj przeszłości pamiątki, a nieszczęśliwych mieszkańców przytułku i mienia pozbawił. Jak ów prorok starego zakonu stanął apostoł Pański na zgliszczach ogniem strawionych świątyń i wyrzekł do znękanych boleścią Krakowian pierwsze wzniosłe słowa współczucia, pociechy i nadziei. Rok blisko bawiąc w mieście naszém, wymową i gorliwością swoją zgromadzał do kościołów naszych tłumy pobożnych, garnących się do niego z dziecinną miłością i ufnością jakby do ojca, pocieszyciela i posłannika Bożego w téj srogiéj klęsce, jaka nas dotknęła. I on téż pokochawszy serdecznie nasze biedne miasto, podwajał sił, aby uświęcić boleść jego, zebrać w jeden kielich łzy gorzkie i złożyć u stóp krzyża jako ofiarę pokutną za przeszłość,

modlitwę błagalną o przyszłość. Sam z Bogiem ściśle złączony chciałby był wszystkich do niego przyciągnąć, jęgo miłością natchnąć, niebo przychylić ziemi, a ziemię podnieść do nieba. Pobożność jego daleka od przesady i źle zrozumianéj gorliwości, pokorna, serdeczna, rzewna, pełna wyrozumienia i pobłażania dla słabości ludzkich, wszystkich pociągała, wszystkie mu serca jednała, we wszystkich budziła uwielbienie i chęć naśladowania. Przeszedłszy szkołę nieszczęścia, poznawszy własném doświadczeniem najdotkliwsze boleści, tym żywiéj umiał czuć cierpienia bliźnich, tym tkliwiéj umiał ich pocieszać. Nieść cierpiącym słowo serdecznego współczucia, płakać z płaczącymi, ocierać łzy ich, koić wszelkiego rodzaju boleści, być wszędzie i zawsze aniołem pociechy, oto posłannictwo téj pięknéj duszy, doświadczonéj w najbolesniejszych próbach, uświęconéj cierpieniem; posłannictwo zaiste święte i święcie téż spełniane przez cały ciąg pełnego zasług żywota.

W połowie r. 1851 ks. Antoniewicz powołany wraz z towarzyszami swymi na Szlązk górny, tam

znowu działał cuda wymową swoją, ściągając nieraz kilkunastotysiączne tłumy na misye odbywane po wsiach i miasteczkach; jednając sobie serca ludu, który swą miłość i uwielbienie zamknął w jedném prostém imieniu „poczciwego“, którém nazwał apostoła swego i pod jakiém pamięć jego długo żyć będzie w stronach gorliwą pracą uświęconych (7).

Z wiosną 1852 r. podobneż misye i z podobnymże skutkiem rozpoczął w W. Ks. poznańskiém (8), gdzie téż wkrótce do nowych prac i poświęceń otworzyło mu się pole. Któż nie pamięta téj strasznéj plagi, jaka w tym roku nawiedziła polskie ziemie, tysiącom wydzierając życie, tysiące okrywając żałobą? Okropna klęska cholery srożyła się i w poznańskiém, urągając usiłowaniom najbieglejszych lekarzy. Ks. Antoniewicz bawił właśnie w Kościanie i tam oddał się cały na posługi nieszczęśliwych. Odwaga i poświęcenie jego były bez granic; we dnie i w nocy pracował bez wytchnienia z całém natężeniem siły ducha, którą wspierał i krzepił upadające w nadludzkiém wy-

sileniu ciało. Dla tkliwéj jego duszy widok cierpień dotkniętych zarazą, widok żalu i rozpaczy tych, co tracili najdroższe sercu istoty, był tak rozdzierający, że, jak sam pisał, gdyby nie silna wola, którą nakazał sercu milczenie, jeżeli nie na cholerę, z boleści byłby umarł. Wyszedł jednak zwycięsko z tego niebezpieczeństwa, ale tak był zmęczony fizycznie, tak skołatany na duszy, że koniecznie potrzebował wypoczynku. Pomimo to pośpieszył jeszcze do Poznania, gdzie podczas różańcowego nabożeństwa, odprawiającego się w kościele XX. Dominikanów, kazał przez cały tydzień przy wielkim natłoku słuchaczy. Jak wszędzie, tak i tutaj słowo jego silne całą potęgą wiary, natchnione miłością i pragnieniem zbawienia bliźnich, wywierało nieopisany wpływ na umysły wszystkich, nawet najmniéj skłonnych do podobnych wrażeń. Ustąpiły téż niebawem zastarzałe przesądy i uprzedzenia, a powszechna cześć i uwielbienie otoczyły kapłana, który tak wzniosły wzór apostolskiéj gorliwości i poświęcenia przedstawiał.

W końcu października 1852 r. przybył ks. Antoniewicz do drogiego mu zawsze Krakowa, chcąc tutaj wytchnąć przez parę tygodni. Z jakąż radością i rozrzewnieniem ujrzeliśmy go znowu pośród nas z tąż samą anielską słodyczą na twarzy, z tąż samą pogodą na czole opromienionėm nowych zasług aureolą. Krótka atoli była radość nasza, władze bowiem miejscowe kazały mu bezzwłocznie opuścić miasto. Wyjechał więc ks. Karol po trzech dniach pobytu rozżalony, zmartwiony tą przeciwnością tym bardziéj, iż żegnał się z Krakowem na zawsze, silne bowiem bliskiéj śmierci przeczucie, już od paru miesięcy ogarniające duszę jego, odezwało się smętnie przy rozstaniu.

Ks. arcybiskup Przyłuski oddał Jezuitom dawny klasztor Cystersów w Obrze (9). Ks. Antoniewicz obrany przełożonym udał się tam prosto z Krakowa tym spieszniéj, gdy się dowiedział, że cholera znowu wybuchła w tamtéj okolicy. W dzień swoich imienin d. 4go listopada wieczorem przybył do Obry i z rozrzewnieniem powitał mury klasztoru, za którego ciszą tęsknił przez

cztery lata tułactwa. W niedzielę następną, t. j. 7go list. przemówił jeszcze do licznie zebranego ludu tak pięknie i tkliwie, jak tylko najlepszy ojciec do dzieci swoich przemawiać umie. Były to już ostatnie nauki, ostatnie przestrogi, jakie wyszły z ust apostoła naszego; téjże saméj bowiem nocy zasłabł na cholerę. Spieszny ratunek odwrócił wkrótce pierwsze niebezpieczeństwo, ale zaraz potém nastąpił tyfus tak gwałtowny, że wszelka pomoc lekarska była bezskuteczną.

Od samego początku słabości ks. Antoniewicz nie wątpił ani na chwilę, że nadeszła ostatnia jego godzina; zaraz więc przygotował się na śmierć. Z tąż samą łagodnością, cierpliwością i pokojem, jakim tchnęło całe jego życie, znosił cierpienia krótkiéj, lecz przykréj choroby, dziękując Bogu, że mu dozwala w celce zakonnéj pomiędzy braćmi umierać, oddając się miłosierdziu jego z ufnością i miłością synowską. Widząc, jak był jeszcze potrzebnym na ziemi, przeczuwając, jaką boleścią zgon jego zrani przychylne mu serca, nie pragnął śmierci, owszem chciał żyć, aby daléj dla dobra

bliźnich pracować. Przyjmował téż ochotnie niesioną mu pomoc, a nawet przy nadchodzącym dniu ś. Stanisława Kostki ślubował, że jeżeli przyjdzie do zdrowia, napisze żywot tego świętego. Ale Bóg chciał już wynagrodzić wiernego sługę za tyle poświęceń i pracy, chciał po życiu pełném cierpień obdarzyć go trwałym pokojem i weselem; nie wysłuchał więc modlitw tych wszystkich, co go znali, a tém samém kochali, uwielbiali i życie jego więcéj niż własne cenili, a teraz gorącemi łzami oblewali stopnie ołtarzy. Siódmego dnia choroby, t. j. 14 listopada w niedzielę pod wieczór ks. Antoniewicz oddał czystego ducha w ręce niebieskiego Ojca, mając lat 45.

Czyjeż pióro opisać zdoła żal, jakim przejął wszystkich zgon jednego biednego zakonnika? Od pałaców książęcych do chatek wieśniaczych i sałaszów huculskich płakali wszyscy jakby po stracie ojca, pocieszyciela, dobroczyncy i przyjaciela, a jęk ten bolesny rozlegający się od brzegów Warty i Obry aż do Prutu i Dniestru, rozgłośném echem odbił się i w dalszych prowin-

cyach polskich, a nawet w Paryżu, gdzie bawiący podówczas Polacy zebrali się w żałobne grono dla oddania czci temu, który tak gorąco ojczystą kochał ziemię i dla dobra rodaków poświęcił życie aż do ostatniego tchnienia. We wszystkich niemal miastach i miasteczkach W. Księstwa i Galicyi odprawiły się nabożeństwa za duszę zgasłego. Najznakomitsi kaznodzieje w tkliwych mowach wyrażali żal powszechny nad tą wielką stratą, jakąśmy w osobie ks. Karola podnieśli; ale nierównie wymowniéj i rzewniéj świadczyły o nim łzy zbierających się tłumnie na te żałobne obrzędy.

W pierwszą rocznicę śmierci ks. Antoniewicza, t. j. d. 14 listopada 1853 r. odkryto uroczyście pomnik wzniesiony mu w kościele w Obrze, gdzie spoczywają zwłoki jego. Na marmurowéj tablicy obok napisu łacińskiego położonego przez braci zakonnych, umieszczono następujący pióra jednego z poetów naszych:

Z krzyżem w ręku nad polskim gorujący ludem,
Starłeś go i podniosłeś słowa Twego cudem;

Krzepiłeś go w niedoli nadzieją i wiarą,
Dla niegoś żył jedynie i dlań padł ofiarą. [bie
Dziś Cię szuka w twym grobie, przez łzy widzi w nie-
I modląc się za Tobą modli i przez Ciebie (10).

Ś. p. ks. Antoniewicz był wzrostu miernego; twarz jego nosząca wybitne cechy ormiańskiego pochodzenia, była wiernćm duszy zwierciadłem. Na wysokiém otwartém czole obok rozumu i powagi rozlany był pokój i pogoda żadną nie zachmurzona przeciwnością. Czarne oczy pełne wyrazu łagodnym lecz nieco przygasłym świeciły blaskiem; przyćmiły zapewne ich żywość łzy tak hojnie wylane i pisanie przy świecy, ktorém zajmował się zwykle do póżnéj nocy. Lekki uśmiech zdobiący usta świadczył o dobroci serca i całéj twarzy nadawał wyraz anielskiéj, ujmującéj słodyczy, wzbudzając zaufanie od pierwszego spojrzenia. Jakkolwiek na pierwszy rzut oka twarz ks. Karola zawsze pogodna wydawała się nawet wesołą, wpatrzywszy się jednak lepiéj można było dostrzedz na niéj śladów przebytych cierpień i boleści siłą ducha zwalczanych. Cień

tęsknego smutku powlekał to oblicze, niewysłowiona rzewność malowała się w oku, przebijała nawet w uśmiechu. W postawie jego, w ruchach tyle było prostoty, że nie powiem zaniedbania, iż niktby się w nim nie domyślił tak znakomitego męża.

Głos miał niezwyczajnie mocny i donośny, ale pomimo to łagodny i miły. Kazał zawsze z pamięci; mówiąc nie unosił się, prawie żadnych nie czynił gestów, mówił spokojnie, poważnie, jakby ojciec z dziećmi rozmawiał. Słowa jego płynące z serca pełne prostoty miały już same w sobie moc przekonywającą i pomimowolnie wciskały się w serca słuchaczy, którzy głośno powtarzanemi błogosławieństwami odpłacali posłannikowi Bożemu każdą naukę jego. Gdy jednak przedmiot tego wymagał, zwłaszcza w mowach przygodnych, umiał ks. Antoniewicz przemawiać z zapałem i uniesieniem młodzieńczém. Głos jego potężny podnosił się wówczas do niezwykłéj siły odpowiedniéj zupełnie mocy wyrażeń płynących z ust jego złotych słów potokiem. Wtenczas był on zaiste mężem duchem Bożym natchnionym,

potęgą słowa wzruszającym, porywającym w jednéj chwili serca słuchaczy i niezatarte czyniącym na nich wrażenie (11).

Podając obecnie zbiór poezyj ks. Antoniewicza, wyrażam oraz gorące życzenie objawione już poprzednio w jedném z pism naszych peryjodycznych, aby wszystkie dzieła zmarłego w zupełném i dokładném zebrać wydaniu. Dziełka te drukowane pospiesznie, tak jak wychodziły z pod pióra lub raczéj wypływały z serca natchnionego kapłana, rozprószyły się po kraju w ulotnych broszurkach, a pomimo że niektóre po kilka miały wydań, wyszły już po większéj części z obiegu księgarskiego. W odleglejszych prowincyjach Polski wcale nie, lub bardzo mało znają te pisma, w których każdy znajdzie odpowiednie potrzebom serca swego karty; należałoby się obznajmić z niemi rodaków, z powszechnego jedynie odgłosu wiedzących o mężu mającym tak słuszne prawo do wdzięczności całego narodu.

Zwracamy szczególną uwagę na pisma wyłącznie dla wiejskiego ludu przeznaczone, w których

w sposób jak najprzystępniejszy wyłożone są przepisy moralności chrześciańskiéj będącéj główną podstawą i niezbędnym prawdziwéj oświaty warunkiem. Rozpowszechnienie ich przez wydania poprawne, po cenie przystępnéj dla ubogich wiosek naszych mieszkańców, byłoby zaiste wielką zasługą i niejako uzupełnieniem miłością kraju natchnionéj pracy ks. Antoniewicza, a zarazem najlepszym dowodem należnego ocenienia gorliwych usiłowań jego i najtrwalszym wdzięcznéj pamięci pomnikiem.

Do uskutecznienia téj tak użytecznéj pracy może posłużyć następujący spis dzieł ś. p. ks. Antoniewicza.

Wykaz pism księdza Karola Antoniewicza.

(Poezyje oznaczono gwiazdką.)

---

1. * Sonety. Zeszyt pierwszy. Lwów, nakładem i drukiem J. Schnaidera. 1828.
2. * Elegia na skon Aleksandra Ypsylantego napisana roku 1828. *(W rękopismie.)*
3. * Bielany. Na dochód krakowskiego towarzystwa dobroczynności. Lwów, drukiem J. Schnaidera. 1829.
4. * Ein Ausflug in die Karpathen. Liederkranz. Wien, 1829.
5. * Stanzen eines nordischen Aschenmannes. Wien, bei den Mechitaristen. 1831.
6. Wspomnienia Mikuliczyna. 1833.
7. * Wandertöne am Pruthfall bei Dora im karpathischen Gebirge. Wien, bei den Mechitaristen. 1834.
8. * Listki palmowe. 1834.

9. * Majówka w Orzechówce. Improwizacyja napisana 15 lipca 1841.

Rękopis téj improwizacyi wraz z objaśniającemi przypisami znajduje się w bibliotece ś. p. Gwalberta Pawlikowskiego.

10. Dziesięć krótkich uwag na pociechę dusz cierpiących. Pamiątka missyjna z r. 1847. Lwów, 1847. Drukiem Piotra Pillera.

11. Mowa religijna miana w kościele XX. Jezuitów we Lwowie 25 marca 1848 w dzień uroczystości Zwiastowania Najśw. Maryi Panny. Lwów, nakładem Kajetana Jabłońskiego, drukiem Michała Poremby. 1848.

12. Przemowa podczas dziękczynnego nabożeństwa za nadaną krajowi naszemu konstytucyją, miana w kościele XX. Jezuitów we Lwowie 28 marca 1848. Lwów, nakładem F. Pillera i Spółki. 1848.

13. Nauka wieczorna miana w farnym kościele XX. Jezuitów u ś. Mikołaja we Lwowie 14 kwietnia 1848 w dzień siedmiu boleści Najśw. Maryi Panny. Lwów, nakładem F. Pillera i Spółki. 1848.

14. Nabożeństwo do siedmiu boleści Matki Boskiéj. Lwów, nakładem K. Jabłońskiego. 1848.

15. * W kaplicy Matki Boskiéj bolesnéj w Staniątkach. Drukiem J. Heera w Piekarach. 1848.

16. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Szczere życzenia dla ludu wiejskiego przy zbliżającym się no-

wym roku 1849. Bochnia, nakładem i drukiem W. Pisza. 1848.

Toż samo wyszło później w Krakowie nakładem Wydawnictwa dzieł katolickich pod tytułem: Szczere życzenia dla ludu wiejskiego. *Roku wydania nie ma. W tém powtórném wydaniu poczyniono niektóre opuszczenia i zmiany stósowne do okoliczności czasu.*

17. Przemowa w czasie obchodu pogrzebowego Wacława Zaleskiego, byłego gubernatora Galicyi, miana 26 marca 1849 w kościele katedralnym lwowskim. Lwów, z drukarni A. B. Winiarza. 1849. Nakład autora.

18. Wspomnienie o klasztorach w Polsce. Mowa na uroczystość ś. Benedykta miana 22 kwietnia 1849 w kościele katedralnym ormiańskim we Lwowie. Lwów, nakładem F. Pillera i Spółki. 1849.

Tęż mowę przełożoną na język niemiecki przez J. M. Fritza zamieścił Schlesisches Kirchenblatt z r. 1850.

19. O zakonach. Mowa na uroczystość wszystkich Świętych zakonu ś. Benedykta, miana w kościele PP. Benedyktynek w Staniątkach. Lwów, z drukarni A. B. Winiarza. 1849. Nakład autora.

20. Kazanie na święto Najśw. Panny Gromnicznéj o śmierci. Poznań, 1849.

21. Kazanie na uroczystość śś. apostołów Piotra i Pawła, miane w Krakowie 29 czerwca 1849. Piekary, 1849.

Ks. Sadok Barącz w dziele swojém: Żywoty sławnych Ormian w Polsce, zamieszcza to kazanie pomiędzy pismami ks. Antoniewicza. Sądzę atoli, że tu zaszła omyłka w dacie, gdyż ks. Antoniewicz, jak to wiemy z listów jego (Poselstwo duchowe ku ludziom) w czerwcu i lipcu 1849 bawił ciągle w Grefenbergu

22. Święty Izydor oracz. Podarek dla szkółek ludu naszego. Leszno, nakładem i drukiem E. Günthera. 1849.
23. Droga krzyżowa. Lwów, 1849.

Wydanie drugie wyszło w Krakowie 1850 z rycinami stacyj, nakładem Wydawnictwa dzieł katolickich, które ogłasza obecnie nowe wydanie.

24. Sposób modlenia się codziennie nawiedzając najśw. Sakrament. Lwów, nakładem Pillera. 1849.
25. Wiadomość o szkaplerzu męki Pańskiéj. Lwów, 1849. Nakład Pillera.

Oba te ostatnie dziełka wyszły bezimiennie. Podaję je w niniejszym wykazie opierając się na powadze ks. Barącza, który w przytoczonêm już wyżéj dziele: Żywoty sławnych Ormian, umieścił je pomiędzy pismami ks. Antoniewicza.

26. Spowiedź katolicka w obec filozofii przeciwkatolickiéj. Lwów, nakładem Pillera i Spółki. 1849.
27. Listy z zakonu. Poznań, druk i nakład Stefańskiego. 1849.
28. Jeden dzień w Piekarach. Ustęp z pielgrzymki życia

mego. Lwów, w drukarni zakładu narodowego Ossolińskich. 1849.

29. Pielgrzymka do cudownego obrazu Najświętszéj Bogarodzicy „Maria Hilf“ w Zuckmantel. Lwów, w drukarni zakładu narodowego Ossolińskich. 1849.

30. Ochronka pisana w cichym domku w kolonii grefenberskiéj 18 lipca 1849. Drukiem T. Heneczka w Piekarach. 1849.

31. Żywoty świętych polskich. Wspomnienie pierwsze o ś. Kunegundzie. Leszno, nakładem i drukiem E. Günthera. 1849.

Wydanie drugie nie wiadomo gdzie i kiedy wyszło.

Wydanie trzecie pod tytułem: Wspomnienie o ś. Kunegundzie. Leszno, nakładem i drukiem E. Günthera. 1857. *W tém wydaniu opuszczono we wstępie jeden ustęp zastósowany do epoki pierwszego wydania niniejszego dziełka.*

32. Groby świętych polskich. Drukiem T. Heneczka w Piekarach. 1849. *Przedruk z Tygodnika katolickiego.*

Wydanie drugie tamże 1851.

33. U stóp krzyża. Dwanaście krótkich uwag. Lwów, nakładem F. Pillera i Spółki. 1849.

34. * Wianek krzyżowy. Lwów, 1849. Nakład autora.

35. Modlitwa z odpustem przyłączonym. Lwów, nakładem Pillera i Spółki.

36. Modlitwa do Pana Jezusa. Leszno, nakładem Günthera.

37. Modlitwa do Najświętszéj Panny Maryi. Leszno.
38. Litania o ś. Stanisławie Kostce. Lwów, nakład Kallenbacha. 1850.
39. Poselstwo duchowe ku ludziom. Poznań, nakładem i drukiem Stefańskiego. 1850. *Listy.*
40. Listy w duchu Bożym do przyjaciół. Kraków, w zakładzie Wydawnictwa dzieł katolickich. 1850.

Wydanie drugie tamże 1857. W tém wydaniu opuszczono przedmowę, tudzież list drugi i czwarty. W liście trzecim pierwszego wydania, który jest drugim w wydaniu powtórném, poczyniono niektóre odmiany z niewiadomych powodów.

41. Obrazki z życia ludu wiejskiego dla szkółek wiejskich. Zeszyt 1—3. Lwów, w drukarni zakładu narodowego imienia Ossolińskich. 1850.

Wydanie drugie w Lesznie nakładem i drukiem E. Günthera. 1852.

42. Czytania świąteczne dla ludu naszego. Oddział pierwszy od 1go stycznia do 1go lipca. Kraków, 1850.

Wydanie drugie tamże 1851. Oddział drugi od Nawiedzenia N. M. P. do ś. Szczepana. Tamże 1851.

Wydanie trzecie obejmujące oddział pierwszy i drugi razem, z portretem autora. Tamże 1853.

Wydanie czwarte, oba oddziały razem. Tamże 1856.

Wszystkie wydania nakładem Wydawnictwa dzieł katolickich, które obecnie ogłasza piąte wydanie.

43. Wianeczek majowy na cześć Najśw. Bogarodzicy Maryi. Lwów, nakład Kallenbacha. 1850.

44. Przemowa przy rozpoczęciu odbudowania kościoła XX. Franciszkanów w Krakowie, miana w kaplicy Matki Boskiéj bolesnéj 22 sierpnia 1850. Z ryciną. Kraków, nakładem Friedleina. 1850.

Przemowa ta znajduje się w umieszczoném poniżéj wydaniu nauk i mów przygodnych.

45. Nauki i mowy przygodne miane w Krakowie przez ks. K. Antoniewicza. Kraków, w wydawnictwie dzieł katolickich. 1851.

Wydanie drugie tamże 1853.

Niektóre z tych nauk przedrukowano w Wyborze kazań i mów przygodnych wydanym w Warszawie u Sennewalda. 1853.

46. Missya wiejska. Kraków, nakładem Wydawnictwa dzieł katolickich. 1851.

47. Pamiątka Jubileuszu w r. 1851. Kraków, w Wydawnictwie dzieł katolickich. 1851.

48. Pamiątka missyi górno-szląskiéj odbytéj w r. 1851. Piekary niemieckie, nakładem ks. kanonika J. A. Fietzka.

49. Krzyż missyjny. (Piekary, 1851?).

Dziełka tego nie znajduję w żadnym spisie księgarskim; dowiaduję się o niém jedynie ze słów samego ks. Antoniewicza, który w przytoczonéj powyżéj Pam. mis. g. szl. na str. 4éj mówi o Krzyżu missyj-

nym jako o pierwszym zeszycie wspomnionéj pamiątki. Stąd więc wnoszę z pewnością, że to dziełko wyszło także w Piekarach 1851.

50. Kazanie na żałobném nabożeństwie za duszę ś. p. Stefanii z Małachowskich Platerowéj, odbytém w Szremie na dniu 23 sierpnia 1852. Leszno, nakładem i czcionkami E. Günthera. 1852.

51. Ojcze nasz. Upominek missyjny dla matek i dziatek. Leszno, nakładem i drukiem E. Günthera. 1852.

52. Missya czyli przypomnienie się do missyi, jéj działania i skutki. Leszno, nakładem i czcionkami E. Günthera. 1852.

53. Kwiateczki missyjne ludowi wielkopolskiemu na pamiątkę missyi odbytéj w r. 1852 ofiarowane. Leszno, nakładem i czcionkami E. Günthera. 1852.

54. Przez krzyż do nieba. Przypomnienie missyi w w. księstwie poznańskiém odbytéj. Leszno, nakładem Günthera. 1852.

55. Pod krzyżem. Pamiątka missyi odbytéj w r. 1852. Opole, 1852.

56. Wspomnienia missyjne z roku 1846. Poznań, nakład i druk Poplińskiego. 1855.

57. *) Żłóbek, kolenda dla dzieci. Z melodyjami i ryciną, lub bez melodyj. Poznań, nakładem Ludwika Merzbacha. 1857.

Dziełko to przerwane śmiercią ks. Antoniewicza, dokończył jeden z jego braci duchownych.

Artykuły umieszczone w czasopismach.

58. O koniach brązowych w Wenecyi. Z niemieckiego. Rozmaitości lwowskie z r. 1828.
59. Niektóre wiadomości o koniach angielskich. Tamże r. 1830.
60. Wystawa sztuk pięknych w Wrocławiu w r. 1837. Tamże r. 1837.
61. Wspomnienia z podróży przez góry olbrzymie. Tamże r. 1838.
62. Jeden dzień życia mego. Wyciąg z dziennika podróży do Jass 1828. W Sławianinie Stanisława Jaszowskiego. T. 2. Lwów, 1839.
63. Uczeni Europy pod względem Armenii. Tamże.
64. Listy z Krakowa. W Tygodniku katolickim stowarzyszenia Maryi, wydawanym w Piekarach 1848—1850.

    Listy te przedrukowano późniéj pod tytułem: Groby świętych polskich. Patrz nr. 32 niniejszego wykazu.
65. Wspomnienia życia zakonnego. W Dzwonku wydawanym we Lwowie 1850—1851.
66. O powołaniu kobiety. Tamże. T. 1, 2, 3.
67. Wędrówka z roku 1848. Tamże. T. 2.
68. Wspomnienia Cichego domku. Tamże. T. 4.

Poezye znajdujące się tak w tych jako téż i innych czasopismach, będą wyszczególnione w spisie przedmiotów przy końcu niniejszego dziełka.

Wiadomości o życiu ks. K. Antoniewicza znaleść można w następujących dziełach:

1. Szkółka dla dzieci. Pismo poświęcone nauce i rozrywce dzieci. Poznań. Rok 2, miesiąc lipiec. Zeszyt 4. 1850.
2. Przegląd poznański. 1852. Zeszyt 5 i 6.
3. Czas. 1852. Nr. 293.
4. Rysy z życia ś. p. ks. K. Antoniewicza, ojca z towarzystwa Jezusowego. Poznań, 1853.
5. Cześć życiu i działaniu ks. K. Antoniewicza zmarłego w Obrze 14 listopada 1852. Przez autora Missyi. Rawicz i Wrocław, 1853.
6. Ks. Sadok Barącz, Żywoty sławnych Ormian w Polsce. Lwów, 1855.
7. Wurzbach, Biografisches Lexikon. Wien, 1857.
8. Tygodnik illustrowany. Warszawa, 1859. N. 6. *Życiorys napisany przez Sewerynę z Żochowskich Pruszakową.*
9. Czytelnia niedzielna. Warszawa, 1859. Miesiąc czerwiec.
10. Encyklopedyja powszechna. Warszawa. Tom 1, zeszyt 9. *Życiorys pióra K. Wójcickiego.*
11. Rozrywki dla młodocianego wieku przez Pruszakową.

Serya 3. T. 2, część 3. T. 3, część 1. *Życiorys pióra redaktorki.*

Dodać tu jeszcze należy mowy pogrzebowe miane na nabożeństwach żałobnych przez najznakomitszych kaznodziejów naszych. Z tych wymieniam niektóre.

1. Mowa na żałobném nabożeństwie za duszę ś. p. ks. K. Antoniewicza miana w Poznaniu przez ks. Aleksego Prusinowskiego 23 listopada 1852.
2. Mowa ks. Aleksandra Jełowickiego miana w Paryżu na żałobném nabożeństwie za ś. p. Antoniewicza odbytém 14 grudnia 1852.
3. Mowa pogrzebowa podczas obrzędu żałobnego za duszę ś. p. Ojca Karola Antoniewicza w Krakowie. Leszno, 1853.
4. Mowa na żałobném nabożeństwie za ś. p. ks. K. Antoniewicza miana w Kościanie 2 grudnia 1852 przez ks. Tomickiego. Leszno, 1853.

Wszystkie nasze zaszczyty, wszyszczy nasi wieszcze
Umikli lub spią w grobach, a my żyjem jeszcze!
Oto, przebacz, że świeżéj nie przemilczę rany,
Legł nam mąż z pobożności i poświęceń znany.
Nie jedna go wśród ludzi szczyciła zaleta;
Żołnierz i obywatel, mąż, ojciec, poeta,
Gdy matce, dzieciom, żonie posypał mogiły,
Bogu wreszczie poświęcił swą zdolność i siły,
Rzadkiéj cnoty zakonnik i kapłan bez skazy.
Gdzie się bezład rozszalał, gdzie mord i pożoga,
Tam on biegł z krzyżem w ręku, a jego wyrazy
Najzuchwalszych przestępców zwracały do Boga.
Ileż dziwów spełniła serdeczna wymowa!
On z nią stanął najpierwszy na zgliszczach Krakowa,
I jeszcze nie przebrzmiały bystre jéj potoki,
A już gmachy z popiołów rosły pod obłoki.
On, gdy zgubna zaraza srożała nad Wartą,
Pierwszy skoczył bez trwogi w jéj paszczę otwartą.
Przed nim od kroci ofiar odbiegła zatrata,
On krocie do lepszego przygotował świata

I sam zdrów tu powrócił. Wtém go wieść zaskoczy,
Że znów potwór wskrzeszony mnogi lud zabiera.
Więc spieszy na swe miejsce, nowe boje toczy
I z męczeńską koroną wśród walki umiera.
Tak żołnierz Najwyższego tuż przy jego domie
Zwiódł bój ciężki, zwyciężył i padł na wyłomie.
Przebacz! zbyt ciężka żałość przygniotła mą duszę.
I ja pod jéj ciosami pióro moje kruszę (12).

II.

WIANEK KRZYŻOWY.

Pielgrzymi! Idąc tą ciernistą życia drogą w upale utrapienia i boleści, wszędzie napotykamy ślady krwawych łez; w każdéj chwili obijają się o uszy nasze narzekania i westchnienia, bo każdy z nas dźwiga krzyż swój, bo każdy z nas upada pod krzyżem swoim. Na jednych wkłada go świat, na drugich Bóg. Biedni ci, których świat krzyżuje, bo krzyż ich jest bez zasług i bez pociechy, świat nie ma nagrody dla tych, którzy dla niego cierpią; świat ukrzyżuje, ale na krzyżu nie pocieszy. Szczęśliwi ci, których Bóg krzyżuje, jeźli tylko krzyż nosić i kochać umieją. Kto krzyż w miłości dźwiga, tego krzyż podźwignie. Tylko miłość krzyża, krzyża ciężar lekkim uczyni. Bógczłowiek krzyż swój poświęcił; on tylko jeden krzyż nasz poświęcić może. Nieskończoną miłością Chrystus nas ukochał i dlatego nieskończenie cierpiał. Miara cierpienia jest miarą miłości. Brak szczęścia jest krzyżem najdotkliwszym dla

tych, którzy świat kochają; brak krzyża jest krzyżem najdotkliwszym dla tych, którzy Boga kochają. Kto idzie z krzyżem za Jezusem, ten w boleściach najdotkliwszych dozna w duszy pokoju. Kto idzie w szczęściu za światem, ten i w rozkoszach swoich będzie w duszy zatrwożony. Łzy przelane na drodze krzyżowéj, to są drogie perły, które Bóg policzy; łzy przelane na wygodnéj, szerokiej drodze świata, to krople rosy, które w piasku giną. Wianuszek z kwiateczków na krzyżowéj drodze życia zebranych:

Biedne kwiateczki, bez barwy, bez woni,
Na twardéj drodze życia zebrane,
Zaledwie w mojéj rozkwitłe dłoni,
A już zwiędniałe, nogami zdeptane.
Ten, co was w życie wskrzesił, poranek,
Już was i w wieczne rozwiał zapomnienie.
Pod krzyżem złożę ten krzyżowy wianek,
A z nim méj duszy i łzę i westchnienie.

* * *

1.

Na świecie tłumno, na świecie gwarno,
Przez roje ludzi przemknąć się trudno;
Ale w méj duszy ciemno i czarno,
Ale w mém sercu tęskno i nudno.
Tu śmiechy puste, wesołe gadki
I cierpki dowcip, czcze i próżne słowa.
Ach, to dla serca mego zagadki,
To nie dla duszy mojéj rozmowy.

Stoję i patrzę w wesołe koło,
Jak cierń kolący patrzy na kwiaty;
Ku ziemi bólem zorane czoło
Schylone duma, myśl leci w zaświaty.
Każdy przechodząc zmierzył mnie ukosem,
Jednêm spojrzeniem i serce osądził,
Jakby szyderczym odezwał się głosem:
Pocoś tu z sercem zbolałêm zabłądził?

Tutaj przytułku nie znajdziesz dla siebie,
Nie do łez miejsce, nie do łez tu pora;
Żyjesz w boleści i marzysz o niebie,
I twoja dusza i myśl twoja chora.
Ach, prawdę mówią, ale prawda boli;
Pójdę, lecz dokąd? Ach, wiem doskonale;
Na innéj dla mnie rosną kwiaty roli,
Z krzyżem po twardéj trzeba piąć się skale.

Bawcie się, bawcie w wesołêm gronie,
Ja wam radości łzami nie zakłucę.

Opodal gorzka łza w duszy utonie,
Opodal tylko moję pieśń przenucę,
Piosnkę tak smutną jak serce wygnańca,
Gdy do ojczystéj zatęskni zagrody,
Piosnkę tak prostą, jak pacierz różańca,
Piosnkę tak łzawą, jak kropla wody,
Piosnkę krzyżową.

* *
*

2.

Kiedy twe serce z życiem się uciera
I raz zwycięża, drugi raz upada,
Dusza tęsknoty śmiercią obumiera,
W dziedzinę wiary zwątpienie się wkrada,
Pospiesz do krzyża, bo z krzyża jedynie
Strumień pociechy w duszę twoję spłynie.

Kiedy chcąc zgłębić życia tajemnicę
Rozum zamilknie na twoje pytania,
A piekło zwątpień ciśnie błyskawicę
Jak ostry sztylet, co duszę rozrania,
Pospiesz do krzyża, bo z krzyża jedynie
Jak promień łaski wiara w duszę spłynie.

Gdy świat twe drogi różami zaściele,
Szczęścia urokiem życie rozpromienia,
By się boleścią nie stało wesele,
Byś wpośród szczęścia nie stracił zbawienia,
Pospiesz do krzyża, w nim nadzieja cała,
By w szczęściu dusza wierną pozostała.

Gdy z marzeń złudnych dusza się przebudzi,
A w domu twoim boleść się rozgości,
Śmierć zakołace, a niewdzięczność ludzi
Jak lodem zmrozi ten urok miłości,
Pospiesz do krzyża ze łzą i westchnieniem,
A boleść twoja stanie się zbawieniem.

* * *

3.

Jak w majowy dzień pogodny
Wietrzyk listka nie poruszy,
Taki pokój dziś swobodny,
Taka cisza dziś w méj duszy.

Bo pod krzyżem jako w cieniu
Błogiéj palmy spocząć mogę,
Bom już przebył ciężką drogę
W złudnych marzeń urojeniu.

Z gwiazd, co jasno mi świeciły,
Jedne zgasły, drugie zbladły,
A nadziei kwiat opadły
Świat gdzieś poniósł na mogiły.

Wiem już teraz, co łza znaczy,
Wiem, co boleść, co cierpienie,
Wiem, co prawda, co marzenie,
Wiem, co życie dla tułaczy.

Wszystko szczęściem mi wróżyło,
Rajem dla mnie był świat cały;
Lecz ten świat, dziś nędzny, mały,
Stał się jakby lodu bryłą.

I cóż dzisiaj mi zostało
Z téj skarbnicy méj przeszłości?
Z tych kwiecistych chwil młodości?
Wspomnień wiele, szczęścia mało!

* * *

4.

Kochaj! — Tak zbawca świata nakazał;
Jego rozkazom któż się oprzeć zdoła?
Kochaj! — Tak do nas on z krzyża woła,
Byś winy serca sercem twojém zmazał.

Kochaj! — Lecz kogo? — Ach, o to nie pytaj,
Chrystus wyjątku nie czyni żadnego;
Weź ewangielją i otwórz i czytaj:
Kochaj bliźniego, jak siebie samego!

A któż jest bliźnim? — Ten, co z głębi duszy
Z tobą zawoła: Ojcze, coś jest w niebie!
I ten, co krwawe łzy twoje osuszy,
Co ci aniołem w każdéj jest potrzebie.

A któż jest bliźnim? — Każdy, który z tobą
Krzyżową drogą do nieba pospieszy,
Dla kogo ciernie są życia ozdobą,
Co z tobą płacze i z tobą się cieszy.

A któż jest bliźnim? — Ten, który dla ciebie
Jakby ze skały serce ma wykute,
Co cię w bolesnéj opuszcza potrzebie,
Nosząc w swém sercu pociski zatrute.

Gdy mu odpuścisz dla miłości Boga
I za złe dobrém hojnie się wypłacisz,
Wtenczas zwyciężysz i siebie i wroga,
Zasługą krzyża duszę twą zbogacisz.

* * *

5.

Kiedy na krzyż twój, o Jezu, poglądam,
Cierpieć i kochać, to moje życzenie;
Cierpieć i kochać chcę, pragnę i żądam.
Gdzie krzyż, tam miłość, gdzie miłość, zbawienie.

Cierpieć, to życia mego powołanie,
Cierpieć, lecz z tobą dla ciebie jedynie;
Kochać, to ciągłe serca zmartwychwstanie,
To kwiat niezwiędły na szczęścia ruinie.

Miłość i boleść, ta dwójca mój duszy,
I myśl i czucie i czyn w jedno łączy,
A gdy łez złudnych brudny zdrój osuszy,
Łzami zbawienia w sercu się rozsączy.

Cierpieć i kochać! Kto pojąć wydoła
Tę świętą, krwawą na krzyżu ofiarę,
Łzami zalany do ciebie zawoła:
Dzięki ci, Boże, żeś dał sercu wiarę!

Bo kto nie wierzy, ten kochać nie umie;
A kto nie kocha, w rozpaczliwéj chwili,
Gdy szuka pociech w zwodniczym rozumie,
Na próżno serce i myśl swą wysili.

Cierpię, bo kocham. Boleść bez miłości,
To chmura, w któréj gwiazda nie zabłyśnie,
To wiatr, co z suchą gałązką się pieści,
To skała, z któréj ruczaj nie wytryśnie.

Kocham, więc cierpię. Miłość bez cierpienia
To żal, co serce bez oddźwięku głosi,
To łza, co spada z błękitu sklepienia,
Lecz tylko zimną opokę porosi.

* * *

6.

Gdy widzę ciebie krwią oblanego,
Rozpięte ręce i nogi,
W boleści serca pytam: Dlaczego
Cierpisz, o Jezu mój drogi?

Ach, nie mów, Panie! Wiem, kto przyczyną
Męki twéj, twego cierpienia;
Ach, wiem, za kogo krew i łzy płyną
I tęskne serca westchnienia.

Wiem, kto tym cierniem skłół twoje skronie,
Wiem, kto cię krwawo biczował,
I temi gwoździmi przebił twe dłonie
I krzyż dla ciebie zgotował.

Wiem, i dlatego, gdy twoja męka
Żywo przed oczy mi staje,
Serce od żalu ledwie nie pęka,
W boleści życie ustaje.

Ty jesteś, Panie, duszy méj zbawcą,
Ty cierpisz za moje złości!
O ja okrutnik, twoich mąk sprawcą,
Nie godzien twojéj litości!

Jakże śmiem jeszcze oczy me wznosić
Do tego krzyża zbawienia?
Jakże śmiem jeszcze błagać i prosić,
Patrząc na twoje cierpienia?

Ale ty wołasz: Chodźcie bez trwogi,
Krzyż wszystkie winy zagładzi;
Wróćcie czémprędzéj z téj błędnéj drogi,
Która na przepaść prowadzi!

Na to wezwanie wszystko porzucę,
Pod krzyżem twoim usiędę,
Do nóg się twoich w miłości rzucę,
Kochać i płakać tu będę.

* * *

7.

Cierpię, bom człowiek. W żalu i tęsknocie
Biedny wygnaniec jabym szczęścia żądał?
Na to stworzony, abym w czoła pocie
Ziemię łzą zlewał i w niebo poglądał?

Cierpię, bom w złudnym marzeń mych zapale
Chciał zmusić szczęście, aby mi służyło,
W dziedzinę świata wdzierał się zuchwale.
Przed dumą moją światło się zaćmiło.

Cierpię, bom więzień, a to ciała brzemię
Ducha szyderczo wstrzymuje w rozpędzie;
Ja chciałem w niebo przemienić tę ziemię,
Ale ta ziemia zawsze ziemią będzie.

Cierpię, bo kocham. Życie bez cierpienia
Skała bezwodna, obłok bez jasności;
Twarda opoka serce bez natchnienia,
Trumna, co martwe przechowuje kości.

Cierpię, bo tylko kto na krzyżu wiernie
Wytrwał, dla tego krzyż w chwałę się zmieni;
Kto mężnym krokiem deptał życia ciernie,
Temu nadzieją grób się rozpromieni.

Cierpię, a jeżli wola twoja taka,
Chcę, pragnę cierpieć, gdzie i jak rozkażesz;
O suchym chlebie, w łachmanach żebraka
Pójdę tą drogą, jaką ty mi wskażesz.

* * *

8.

O Jezu, jakaż bolesna tęsknota
Zamracza duszę, gdy od ciebie stroni;
Jakiż niepokój biedném sercem miota,
Gdy za stworzeniem czczą miłością goni!

Ja żyłem krótko w szczęścia urojeniu,
Świat rozpromieniał méj duszy źrenicę;
Ale przy pierwszém bolesném westchnieniu
Pojąłem całą życia tajemnicę.

Wtenczas me serce jakby lodem ścięte,
Ach, poraz pierwszy prawdą zapłakało,
Gdy szczęście srogo na krzyżu rozpięte,
W cierniowym wianku, skrwawione ujrzało.

Jeżli mnie godnym, o Jezu, osądzisz,
Bym dźwigał ciężki krzyż za tobą, Panie,
Ja zbłądzić mogę, ty nigdy nie zbłądzisz,
Jako rozkażesz, tak niechaj się stanie.

W pokorze serca, w cichości, w milczeniu
Pójdę za tobą przez głogi i ciernie;
Przy tobie ulgę znajdę w mém cierpieniu,
Za tobą dźwigać będę krzyż mój wiernie.

Wiem, że mnie dobrą drogą poprowadzisz,
Obdarzysz serce miłości pokojem;
Że nie opuścisz, wiem, że mnie nie zdradzisz,
Bo jesteś ojcem, a ja dzieckiem twojém.

A jeżli szczęściem rozpromienisz czoło,
I szczęście przyjmę, jako dar z twéj ręki;
Wszędzie i zawsze, tęskno i wesoło,
Będę ci szczerze składał serca dzięki.

Kto Tobie ufa, nigdy nie zaginie,
Kto z tobą idzie, z tobą się połączy,
I łzę ostatnią w ostatniéj godzinie
Na sercu twojém jak dziecko wysączy.

* * *

9.

Panie, ty widzisz, krzyża się nie lękam,
Panie, ty widzisz, krzyża się nie wstydzę;
Krzyż twój całuję, pod krzyżem uklękam,
Bo na tym krzyżu Boga mego widzę.

Do krzyżam zwrócił wszystkie me życzenia,
Do krzyżam przybił błędnych myśli roje,
Bo z krzyża płyną promienie zbawienia,
Bo z krzyża płyną zmartwychwstania zdroje.

Pod krzyżem świata starty i złamany
Pragnę już odtąd krzyż twój w duszy nosić,
Niewoli świata pokruszyć kajdany,
Bym mógł na krzyżu krzyża chwałę głosić.

Nie zasłużyłem, abyś mnie pocieszył,
Bom przez czas długi tak od ciebie stronił;
Gdyś na mnie wołał, do ciebiem nie spieszył
I łez tak wiele tak marniem roztrwonił.

Ach, tyś mi podał pierwszy rękę twoję,
Abym na krzyża mógł powrócić drogę,
A jam nią wzgardził! Dziś pod krzyżem stoję,
Bo już bez ciebie dłużéj żyć nie mogę.

Bom znalazł w krzyżu to, com w szczęściu stracił,
Pokój i wiarę, miłość i nadzieję;
Ubogą duszę tyś łzami zbogacił,
Przystroił cierniem, który nie więdnieje.

A serce wspomnień nosząc krwawą ranę,
Samotnie życia pielgrzymkę odbędzie.
Czyń, co chcesz ze mną; pod krzyżem zostanę,
Krzyż był kolebką, krzyż mym grobem będzie.

* * *

10.

Smutno mi w duszy i nie wiem, dla czego,
Chciałbym się modlić, modlić się nie mogę;
Jakby przeczucie nieszczęścia jakiego
Czuję tęsknotę i boleść i trwogę.

Smutno mi w duszy, a oko się śmieje,
Udana radość boleść serca tłumi;
Jak burza rosę, tak żal łzy rozwieje,
Świat życia duszy nigdy nie zrozumie.

Serce jak kamień, który mchem porośnie,
Bólem porosło. Gdym światu objawił
Ten żal serdeczny, świat spojrzał ukośnie
I tam potępił, gdzie Bóg błogosławił.

Płakać nie mogę; jednak płakać muszę,
I myśl się plącze i serce się smuci.
O dobry Jezu, pociesz moją duszę,
Niechaj twa łaska pokój jéj powróci!

Bo jeźli twoje nie wesprze mnie ramię,
Jestem tak słaby jak ta wiotka trzcina,
Co lada wietrzyk i ugnie i złamie,
Chociaż tak tęskno do nieba się wspina.

Ach, tyś mię zawsze tak wiernie prowadził,
Chociaż ja ciebie nie znał i nie prosił,
I w sercu mojém grzech na grzech gromadził
I rozkosz świata nad twój krzyż przenosił.

A tyś mnie jednak nie odepchnął, Panie,
I twą miłością zawsześ za mną gonił,
Pokąd poznawszy twoje zlitowanie,
Głowym do krzyża stóp kornie nie skłonił.

Dziś już od krzyża twego nie odstąpię,
Pod krzyżem miłość krzyża nie ostygnie;
We krwi ran twoich mą duszę wykąpię
I choć upadnę, twój krzyż mnie wydźwignie.

11.

Gdyś ludzi kochał miłością tak czystą
A żadnéj zdrady twe serce nie znało,
Świat serce złamał, myśl zmroził ognistą,
Cóż ci z tych błogich dziś marzeń zostało?
Gorzkie wspomnienie! — Na téj łez dolinie
I to przeminie.

Gdy taką walką dusza rozkrwawiona
Jak ptak spłoszony przed światem się kryła,
A ostrym smutku wieńcem ocierniona
Z kielicha życia samę gorycz piła,
Łzy twe spłynęły! — Na téj łez dolinie
I to przeminie.

Gdy twym zamysłom wszystko idzie sprzecznie,
Z sobą, ze światem, wciąż żyjesz w rozdwoju,
I walcząc mężnie walczysz bezskutecznie,
Nie mogąc duszy wywalczyć pokoju,
Nie trać ufności! — Na téj łez dolinie
I to przeminie.

Patrząc w to niebo, ale patrząc duszą,
Tęsknoty bole kiedy cię owładną,
Smutny zawołasz: Ach, kiedyż się skruszą,
Kiedyż niewoli kajdany opadną?
O bądź cierpliwy! – Na téj łez dolinie
I to przeminie.

Spojrzyj w czas zbiegły, a wnet się rozbudzi
W marzącéj duszy młodych lat wspomnienie;
Wieleś wycierpiał dla ludzi, od ludzi;
Życie twe było jak jedno bolenie:
Przeszłość i przyszłość! — Na téj łez dolinie,
Wszystko przeminie.

Pracuj i kochaj! Módl się bez ustanku,
Modlitwa z Bogiem duszę twoję złączy,
I łzy, coś przelał już w życia poranku,
I te, co jeszcze twe oko wysączy,
Uschną w mogile. — Na téj łez dolinie
Wszystko przeminie.

Bo każda życia chwilka, to ogniwo;
Jedno po drugiém w tym łańcuchu pęka.
Coś w smutku zasiał, piękne wyda żniwo,
Nad grobem życia zaświeci jutrzenka.
Nie trać odwagi! — Na téj łez dolinie
Wszystko przeminie.

Mężnie więc naprzód, jeszcze kroków kilka,
Kilka łez jeszcze przepłaczesz, pielgrzymie;
Wieczność się zbliża, życie jedna chwilka;
Z tobą i ból twój w mogile zadrzymie.
Wiara, nadzieja, miłość nie przeminie,
Choć świat zaginie.

* *
*

12.

Pociecha świata kończy się znużeniem,
Cierpką po sobie pamiątkę zostawia;
Sam człowiek goni za własném cierpieniem,
Goryczą wszystkie dni życia zaprawia.
Lecz kto raz zwalczył zmysłów upojenie
I duszą pojął boleści znaczenie,
Ten pełném sercem i zawsze i wszędzie
Krzyż twój, o Jezu, błogosławić będzie.

Ta przestrzeń drogi, i ciężka i długa,
Co od kolébki do grobu prowadzi,
Spłynie dla niego, jak spokojna struga,
Bo kto w krzyż wierzy, tego krzyż nie zdradzi
A chociaż w sercu poczuje ściśnienie,
Do nieba zwróci zmroczone spojrzenie
I pełném sercem i zawsze i wszędzie
Krzyż twój, o Jezu, błogosławić będzie.

A jeźli życia wędrówką złamany
Gdzieś na grobowym usiędzie kamieniu,
Z duszy znękanéj opadną kajdany,
Gdy się w krwi świętéj wykąpie strumieniu,
I jakby z długiéj wybawion niewoli
Cieszyć się będzie tém, co go dziś boli,
I pełném sercem i zawsze i wszędzie
Krzyż twój, o Jezu, błogosławić będzie.

Bo pod tym krzyżem cisza święta, wielka,
Głos jeden dzwoni, ale to głos Boski,
Bo pod tym krzyżem Boża Rodzicielka
I krew, co zbawia, łzy, co koją troski.
A kto raz przebył brudne świata morze,
I pod krzyż stanął, lecz stanął w pokorze,
Ten pełném sercem i zawsze i wszędzie
Krzyż twój, o Jezu, błogosławić będzie.

* * *

III.

WIANECZEK MAJOWY

Najświętszéj Boga Rodzicy

MARYI.

Kilka piosenek majowych dla was, którzy Maryją kochacie, dla was, którzy z Maryją pod krzyżem stoicie. Biedne, proste, pokorne piosenki, jak te polne kwiateczki majowe. Krótkie ich życie, ale szczęśliwe kwiateczki, jeźli choć chwilek kilka zdobiąc jéj obraz kwitnąć i odkwitnąć mogą. Krótkie życie tych piosenek, które w pokorze składam u stóp téj matki, która i najuboższym nie pogardzi serca darem. Maryja nie gardzi kwiateczkiem majowym; ona i majową nie wzgardzi piosenką, bo te kwiaty wykwitają na ziemi, któréj ona jest panią, bo te piosnki dzwonią w sercu, którego ona jest matką.

1.

Huczą lasy, szumią zdroje,
Jakby wielbiąc imię twoje,
Bo to imię ukochane
Goi każdą serca ranę,
Bo to imię w całym świecie
Wielbi starzec, kocha dziecię.

O Maryjo! przyjm w ofierze,
Co ci dzieci znoszą szczerze,
Serca swoje, myśli swoje,
I łez żalu czyste zdroje,
Wszystkie smutki i tęsknoty,
Nie z przymusu, lecz z ochoty.

Chociaż panią nazywamy,
Lecz jak matkę cię kochamy,
Jako pani cześć oddając,
Jako matkę cię wzywając.
Pani świata, rządź sługami,
Matko, lituj się nad nami!

Bo my nędzni, biedni ludzie,
Zastarzali w grzechów brudzie;
Podaj rękę, powstaniemy,
Proś za nami, ożyjemy,
A doznawszy twéj opieki,
Będziem z tobą żyć na wieki!

* * *

2.

Już majowe świeci zorze.
Przed obrazem świeże kwiaty
Dla Maryi złóż w pokorze,
Lecz kwiat inny ślij w zaświaty.

Kwiat nadziei, kwiat miłości,
Co się w duszy twéj rozwinął,
Daj go matce, aby w czczości
Świata tego nie zaginął.

Powierz matce kwiat ten drogi,
By go ludzie nie splamili,
Żeby bujne świata głogi
Tego kwiatu nie zgłuszyły.

Wszystkie myśli, wszystkie słowa
Pod straż dobréj oddaj matki,
Ona wiernie ci przechowa
Te majowe duszy kwiatki.

Ona czuwać będzie stale,
By twe serce wiarą biło,
A na wierze jak na skale
Życie silniéj się krzewiło.

Ona czuwać będzie wiernie,
By miłości świętéj siła
Jako słońce, czynnie, biernie,
W duszy twéj się promieniła.

* * *

13.

Kwitną łąki, a z kwiatami
Radość w sercu się rozkwita;
Świeci niebo i gwiazdami
Przyjście błogiéj wiosny wita.
Wdziękiem maja kwitnie chwała
Téj, co światu zbawcę dała.

Gdzie kościoły i zakony
I gdzie dzieci boskie żyją,
Gdzie z wież huczą głośne dzwony,
Tam téż głośniéj serca biją.
Cześć Maryi, cześć i chwała,
Która światu zbawcę dała.

Maj zawitał i świat ożył,
Słońce błysło, pękły lody,
Ziemi łono Bóg otworzył,
By wśród życia i swobody
Głośno grzmiała cześć i chwała
Tėj, co światu zbawcę dała.

Ziemia głosi imię twoje,
Ciebie niebo opowiada;
Tobie pszczółek brzęczą roje,
Tobie ptasząt nucą stada.
Cześć Maryi, cześć i chwała,
Która światu zbawcę dała.

Myśl się nasza stroi kwiatem
A uczucie gwiazd światłością;
I wśród świata i nad światem
Chcemy twoją żyć miłością.
Cześć Maryi, cześć i chwała,
Która światu zbawcę dała.

* * *

4.

Panie! w ofierze tobie dzisiaj składam
Wszystko, czém jestem, wszystko, co posiadam.
Ty wiesz najlepiéj, żem nędzny, ubogi,
Żyję wśród smutków i żalu i trwogi,
Goniąc i tęskniąc za duszy pokojem.
Nadzieją moją i zbawieniem mojém
Jest ta myśl błoga, jest ta myśl droga,
Że matką moją jest matka Boga.

I kiedy patrząc na grzechów mych złości
W sercu utulić nie mogę żałości,
I sąd twój straszny staje przed oczyma,
Jak nad przepaścią piekła ducha trzyma,
I wszystkie myśli w odmęcie truchleją,
Znękanéj duszy ostatnią nadzieją
Jest ta myśl błoga, jest ta myśl droga
Że matką moją jest matka Boga.

Kiedy krzyż ciężki na to ciało padnie,
A duszę cięższy krzyż jeszcze owładnie,
I sucho wewnątrz i zewnątrz tak sucho,
A w duszy ciemno, a w sercu tak głucho,
I usta milczą w milczenia katuszy,
Jedyną ulgą dla zbolałéj duszy
Jest ta myśl błoga, jest ta myśl droga,
Że matką moją jest matka Boga.

Lecz gdy ostatnia wybije godzina,
Co całą przeszłość jasno przypomina,
A to wspomnienie harde myśli zmiesza
I serce drażni, ale nie pociesza,
Któż od rozpaczy człowieka zasłoni?
Któż zlitowania skarby mu odsłoni?
Jedna myśl tylko, jedna myśl błoga,
Że matką naszą jest matka Boga.

* *
*

5.

O Maryjo, na głos sługi
Nie odmawiaj twéj pomocy,
Bom czas długi, bardzo długi,
Żył bez ciebie w zwątpień nocy;
Włos od smutku posiwiały,
Dusza starta i złamana,
W sercu zimny, skamieniały,
Bom znać nie chciał matki Pana,
Bom miłował moje grzechy.

Dziś wyznaję serca winy
I nie szukam już pociechy,
Ale łask twych okruszyny.

Żyłem długo jak umarły
W brudnym złości moich grobie,
Które z łask twych mnie odarły;
Jednak zawszem ufał tobie.

I ta ufność mnie nie zwiodła,
Dziś do ciebie mnie przywiodła.
Dzieckiem twojém być przestałem,
Tyś być matką nie przestała,
A z tych łez, co przepłakałem,
Niech wykwitnie twoja chwała!
Skrusz twą siłą te kajdany,
Które duszę krępowały,
Zagój w sercu wszystkie rany,
Które grzechy mi zadały.
Z więźnia świata więźniem twoim
Chcę być dotąd wierny, stały;
Lecz ty obdarz mnie pokojem,
Bym był więźniem twojéj chwały!

* * *

6.

Różne są szczęścia i różne są bole,
Przez które człowiek w życiu przechodzi,
A świat ten nieraz w serce ukole,
Życia goryczy nigdy nie osłodzi,
Bo świat to umie i zdradzić i złudzić,
Serce rozranić i duszę obrudzić.

Tylko ta jedna, co życie nam dała,
Miłując sercem, sercem nas pociesza;
Tylko ta jedna miłością wytrwała
Zawsze i wszędzie w pomoc nam pospiesza,
Ranę odgadnie a boleść przeczuje,
Bo tylko matka swe dziecko pojmuje.

Ale ta matka słaba jako trzcina
Cóż sama przez się uczynić jest zdolna?
Pod krzyżem dziecka kornie się ugina,
Modlić się, płakać, to tylko jéj wolno.
Sama swą siłą serca nie zagoi,
Sama swą prożbą Boga nie rozbroi.

Lecz drugą matkę mamy jeszcze w niebie,
Co matce naszéj pomoc, radę daje,
A gdy jéj wezwie w smutku i potrzebie,
W obronie dziecka zawsze przy niéj staje.
Gdzie matka płacze, tam Maryja radzi,
Gdzie matka błądzi, Maryja prowadzi.

Jeżli chcesz dziecku twemu błogosławić,
To je błogosław w Maryi imieniu;
Jeżli chcesz duszę dziecka twego zbawić,
Kochaj Maryją w szczęściu i strapieniu.
Bądź ty jéj dzieckiem i zawsze i wszędzie,
A ona matką dziecku twemu będzie.

* * *

7.

O, potąd dobrze i błogo na świecie,
Pokąd na ziemi ma matkę dziecię.
I pod jéj sercem nowy świat powita,
Jak kwiatek polny w życie się rozkwita,
Od niéj się uczy znać Boga na niebie,
U niego szukać pomocy w potrzebie
I jego świętéj poddawać się woli,
Wielbić i wierzyć, choć serce zaboli;
Jak cicho płakać, kochać i pracować,
I w krawym pocie kornie krzyż całować,
I zawsze wierzyć, choć rozum w ciemności,
I zawsze kochać, choć serce w oschłości,
I zawsze wołać w pokorze: O Panie,
Jak ty rozrządzisz, niechaj tak się stanie!

O, potąd dobrze i błogo na świecie,
Pokąd na niebie na matkę dziecię.
Pod jéj opieką nić życia wyprzędzie,
Kocha ją zawsze, widzi ją wszędzie,
I tęskniąc do niéj, do niéj się zbliża,
I z krzyżem w ręku pospiesza do krzyża,
By krzyża bole z tą matką podzielić,
I z nią zapłakać i z nią się weselić.
Gdy o niéj myśli, myśl zawsze pogodna,
Gdy jéj zaufa, to dusza swobodna;
Gdy za nią idzie, o świat nie zawadzi,
Gdy jéj zawierzy, to ona nie zdradzi,
A gdy na ziemi sercem z nią się łączy,
To na jéj sercu i życie zakończy.

* * *

8.

Smutno na sercu! — A któż pocieszy?
Dusza się trwoży! — Któż nas obroni?
Któż w pomoc dziecku chętnie pospieszy,
Któż je od wiecznéj zguby zasłoni?

I jeszczeż długo będziem tak pytać?
I jeszczeż długo żyć tak wśród trwogi?
I każdéj wiotkiéj trzciny się chwytać,
Przy błędném świetle szukać życia drogi?

I matkę mając żyjem w zwątpieniu,
I światło mając błądzim wśród nocy,
I usta mając cierpim w milczeniu,
Nie chcąc u matki szukać pomocy.

Ale ta matka gdzież ona mieszka?
I gdzież ją znaleść, gdzie możem odszukać?
I któraż do niéj doprowadzi ścieszka?
Gdzież do jéj domku i serca zapukać?

O nie idź tylko niedowiarstwa mrokiem
I próżnéj dumy i rozpusty złością,
Szukaj jéj łzawém i sercem i okiem,
Szukaj jéj wiarą, a znajdziesz miłością!

Świętéj pokory pokryty puklerzem
Za zbawicielem wstępuj w krwawe ślady,
A matki Boskiéj zostawszy rycerzem
Znajdziesz w niéj matkę miłości i rady

Ona cię weźmie pod swoję opiekę,
Choć przeciw tobie cały świat powstanie,
Otrze z łez gorzkich wilgotną powiekę,
A dusza życia prawdą zmartwychwstanie.

* * *

9.

Biedny, kto ciebie nie zna od powicia
I nigdy twego nie słyszał imienia;
Lecz ten biedniejszy, kto w rozpuście życia
Stał się niegodnym twojego wejrzenia.

I imię twoje już zatarł w pamięci
I swojéj matki podle się wyrzeka.
Ach, łaska Boska serca nie poświęci,
Które od matki stroni i ucieka.

Kto się za życia z tobą nie połączy,
Tęskniąc nie szuka twéj świętéj opieki,
Ten i bez ciebie to życie zakończy,
Bez ciebie będzie rozpaczać na wieki.

7*

Kto cię nie uczci i słowem i czynem,
Za tym nie staniesz na sądzie w obronie;
Kto gardzi matką, ten gardzi i synem,
Kto gardzi światłem, w ciemnościach zatonie.

Gorzkie łzy żalu dziś ci niosę w darze,
Niechaj wyżebrzą twoje zlitowanie;
A chociaż syn twój w gniewie mnie ukarze,
Matka za dzieckiem w obronie powstanie.

A kogo, matko, ty pobłogosławisz,
Ten do wieczności szczęśliwie dopłynie;
A za kim, matko, na sądzie się wstawisz,
Ten wieczną śmiercią nigdy nie zaginie.

* * *

10.

Przed tobą, matko, któż się ukryć zdoła?
Ty serc twych dzieci przenikasz skrytości;
Duch się wyjarzmia z żądz zmysłowych koła
Do ciebie tęskni, tęskni do miłości.
Pozwól, o matko, w téj duszy rozmowie
Niech serce dziecka wszystko ci opowie.

Wyznaję szczerze, od krzyżam się bronił,
Dziś go przyjmuję w pokorze, prostocie;
Wyznaję szczerze, żem od ciebie stronił,
Lecz dziś cię szukam w méj duszy tęsknocie,
Czy serce zgoisz miłości urokiem,
Czy duszę zranisz boleści pomrokiem.

Gdy żałość moję tobie opowiadam,
Wtedy w méj duszy ciszéj i spokojniéj;
Kiedy me życie w ofierze ci składam,
Wtedy w mém sercu jaśniéj i przestroniéj.
O, wskaż mi tylko, wskaż mi życia drogę,
Bez twéj pomocy daléj iść nie mogę!

Bo kto sam idzie, pod krzyżem upada,
A do powstania gdy siłę wytęża,
I myśl się kłóci, lęk w serce się wkrada,
Dusza słabnieje, a ciało zwycięża.
Lecz kto na tobie polega jedynie,
Dla tego boleść siłą się rozwinie.

* * *

11.

W zimnym popiele iskra nie zaświeci,
Kwiat nie wykwitnie w śniegowéj zamieci.
W sercu zbolałém są tylko wspomnienia,
Znajdziesz łzę gorzką, nie znajdziesz natchnienia,
Bo do pustego nikt domku nie puka,
W grobowéj nocy nikt życia nie szuka.

Matko, weź życie, albo dodaj siły,
Bo coraz cięźéj, im bliżéj mogiły,
A własną siłą daléj iść nie mogę.
Zostaw mi krzyż mój, ale oddal trwogę,
Bo choć pokornie krzyż na barki wkładam,
Co krok postąpię, pod krzyżem upadam.

I coraz zimniéj i zimniéj wokoło,
I coraz rzewniéj łza po łzie się sączy,
I coraz ciemniéj zachmurza się czoło,
I coraz ściśléj żal się z żalem łączy.
Matko, spiesz w pomoc, utul ból serdeczny,
Pod twą opieką będę żył bezpieczny.

Modlić się pragnę, płakać tylko umiem,
Smutek, tęsknota głos modlitwy tłumi,
Własnego serca uczuć nie rozumiem,
Ale Maryja to serce zrozumie.
Dla mnie, dla ludzi łzy są tylko łzami,
A dla Maryi modlitwy słowami.

* * *

12.

Niegdyś byłem tak bogaty;
Mém bogactwem marzeń kwiaty.
Żyjąc w szczęścia upojeniu
I w nadziei i w wspomnieniu
Była przeszłość, przyszłość święta,
I tęsknota niepojęta
Na dnie duszy méj dzwoniła
Jak harmonia dzwięczna, miła;
Jużem sądził, że w radości
Można dobić do wieczności,
Że bez krzyża i cierpienia
Zejdzie dla mnie dzień zbawienia.

Wszystko się dla mnie dzisiaj zmieniło,
Maryja matka, ta się nie zmieniła;
Co było jasném, dzisiaj się zaćmiło,
Co było ciemném, tyś rozpromieniła.

Wszystkie pociechy i cierpienia moje
Z krzyżem, jak dziecko krzyżam odziedziczył;
Opieka matki, miłosierdzie twoje,
Żeś je w zasługę, tak ufam, policzył.

A jeźli serce boli, bardzo boli,
Matko, tę boleść poświęć twoją ręką,
Bym się oddając we wszystkiém twéj woli
Krzyż mój połączył z syna twego męką!

* * *

13.

Zawitał dla nas majowy poranek,
Ziemia i niebo błogo się śmieje;
Podajcie kwiaty, aby uwić wianek,
Lecz wianek taki, który nie więdnieje.

Na żyznéj ziemi kwiat pełny urośnie,
Na twardéj skale tylko głóg kolący;
A my na wianek zbierajmy przy wiośnie -
Nie ostre głogi, ale kwiat woniący.

Na nas Maryja w radości pogląda,
Jako ta gwiazda, co na niebie świeci,
Przyjmie ten wieniec, innego zażąda,
Wianka serc naszych, jako serc swych dzieci.

Bo kwiaty ziemi, o, jak krótko trwają!
Jak gwiazdy gasną, tak kwiaty więdnieją,
A wiatry uschłym badylkiem igrają
I zżółkłe listki po świecie rozwieją.

Złóżmy na wieniec wszystkie serca cnoty,
Które wykwitły w sile jéj opieki,
Dajmy kwiat szczęścia, dajmy kwiat tęsknoty,
A taki wieniec nie uschnie na wieki.

* * *

14.

Maj przeminie,
Zdrój przepłynie,
Gwiazdka zgaśnie na błękicie;
Wiatr pogoni,
Pieśń przedzwoni,
A w téj piosnce serca życie.

W grobu łonie
Łza utonie,
Co się w duszy sączy skrycie,
Łza miłości
I żałości,
A w téj łezce serca życie.

Jak za rajem,
Tak za majem
Tęskne, smutne serca bicie,
Bo w tym maju
Jakby w raju
Kwitło błogo serca życie.

Jak wśród drogi
Ludzkie nogi
Zdepcą kwiat w samym rozkwicie
Wzgardzą pieniem
I westchnieniem,
A w westchnieniu serca życie.

* * *

15.

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!
Matko, pociesz, bo płaczemy,
Matko, prowadź, bo zginiemy;
Ucz nas kochać choć w cierpieniu,
Ucz nas cierpieć choć w milczeniu!
Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko nie opuszczaj nas!

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!
Cóż dziwnego, że łzy płyną,
Gdy to życie łez doliną.

Dusza smutkiem zamroczona
Pod ciężarem krzyża kona!
Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!
Wyjednało twe wstawienie
Niejednemu już zbawienie;
Kto swą ufność w tobie łożył,
Nowém łaski życiem ożył.
Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!
I dlatego twoje imie
W sercach naszych nie zadrzymie;
Będziem wołać, błagać, prosić,
Wszędzie, zawsze cześć twą głosić!

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!
I w sieroctwie, w opuszczeniu,
I w tęsknocie i w cierpieniu,
I w ubóstwie i w chorobie,
Zawsze będziem ufać tobie!
Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!
Pójdziem chętnie drogą krzyża,
Bo nas krzyż do ciebie zbliża,
Bo nas krzyż dziś nie przestrasza,
Bo nadzieja w krzyżu nasza!
Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!
Tak pod krzyżem będziem stali,
Z tobą krwawą łzą płakali,
Boś ty matką nam została,
Gdyś pod krzyża drzewem stała!
Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!

* * *

IV.

W KAPLICY MATKI BOSKIĖJ BOLESNĖJ

w Staniątkach.

Jako dziś klęczę, tak niejednym razem
Klęczałem tutaj przed świętym obrazem;
A ty jak gwiazdka, co świeci w obłoku,
Byłaś mém światłem w pielgrzymstwa pomroku.

Dzisiaj powracam, o matko, do ciebie,
Płacząc nad ziemią, a marząc o niebie;
Tobie me żale i smutki przedłożę
I kij pielgrzyma u stóp twoich złożę.

Matko, ty doradź, matko, wskaż mi drogę,
Bez ciebie myśleć i kochać nie mogę.
Powiedz, czy w obce mam się udać strony,
Gdzie mi już polskie nie zahuczą dzwony,

Czy mam przeprawić mą łódkę przez morze,
Gdzie mi już polskie nie zaświeci zorze,
Czy téż w ojczysty mam wrócić zakątek,
W kraj tęsknych marzeń i łzawych pamiątek,

I tam wśród swoich jakby na wygnaniu
Mówić o przyszłém w życiu zmartwychwstaniu?
Choć ciało słabe, ale duch ochoczy,
I nigdy z drogi, co wskażesz, nie zboczy.

Dla mnie rozkazem każde twe skinienie,
O daj pracować na kraju zbawienie;
A za to wszędzie, zawsze, złożę dzięki,
Choć mnie powiedziesz przez krzyże i męki.

O matko, objaw, objaw mi twą wolą,
Matko, przeżegnaj oschłą serca rolą,
Na któréj smutków porosły piołuny
Jako złowrogie, pogrzebne całuny.

O matko, przemów, przemów do méj duszy,
Bo ją świat mroźném swém tchnieniem wysuszy.
Myśli jak wichrem pędzone obłoki
Błądzą, a z myślą błądzą wątłe kroki.

Dziś mnie przywiodły w te mury klasztorne,
W ten raj pokoju. Ach, może pozorne
Dziś szczęście moje i w jednéj godzinie
I to złudzenie z innemi zaginie.

Czym na to przyszedł, by po raz ostatni
Polskę powitać, posłyszeć głos bratni?
Po raz ostatni ten głaz ucałować,
Rzewnie zapłakać i wstecz powędrować?

I gdzieś w obczyznie, w tułacza odzieniu
Prześnić to życie w tęsknocie, cierpieniu?
Matko boleści, w każdym życia razie,
Gdym się pomodlił przy twoim obrazie,

Poczułem w głębi méj duszy wzruszenie,
Jakby głos matki, jak krzyża natchnienie.
Matko, i dzisiaj niechaj tak się stanie,
Daj mi odpowiedź na moje pytanie.

* * *

I było ciemno, tak ciemno dokoła!
Lampa się tylko w kościele paliła,
A dusza jakby w objęciu anioła
Z goryczy życia rzewną słodycz piła.

I cisza zewnątrz i wewnątrz tak błoga!
Byłem szczęśliwy, jak gdyby w zachwycie,
I czułem bliskość, bliskość mego Boga
I czułem nowe w sercu mojém życie.

Jako pod wieczór błękit się rozchmurza
I szum wzburzonéj ucisza się fali,
Tak się i w duszy uciszyła burza,
Jakby głos jaki przemawiał z oddali.

I głos zbawienia jak z krzyża, jak z nieba,
W sen zakołysał wszystkie niepokoje,
I głos tak silny, jakiego potrzeba,
Aby wypłoszyć brudnych myśli roje.

Te, co świat zadał, Bóg rany zagoił,
Zwątlone siły swą łaską pokrzepił,
I w serce, które świat kłamstwem rozstroił,
Nowego życia nowy zaród wszczepił.

I jeszczem klęczał i jakby zasłona
Dziwacznych widzeń z ócz moich spadała.
Co syn rozpoczął, to matka dokona,
Bo nie napróżno matką nam została.

I w jéj obrazie tonęły me oczy,
Ogień miłości zimną pierś rozgrzewał,
Z obrazu spływał jakiś blask uroczy,
Co pokój święty w moję duszę wlewał.

I jeszczem klęczał na twardym kamieniu,
Świętą koronkę trzymały me ręce,
I w słodkiém ducha mego rozrzewnieniu
O matki, syna rozmyślałem męce.

Widziałem ciebie pod krzyżem stojącą,
Tak jakoś niegdyś na Golgocie stała;
Widziałem matkę srodze bolejącą,
Jako gdy niegdyś na syna patrzała.

Dusza ostremi przebita mieczami,
Serce łez krwawych zalane goryczą.
O matko, nie gardź dziś mojemi łzami,
Matko, twe miecze niech mi przewodniczą.

Powiedz mi tylko; na twoje żądanie
Pójdę, gdzie każesz, uczynię, co zdołam;
A kiedy siła w téj pracy ustanie,
Wspomnę na ciebie, w pomoc cię zawołam.

W tobie mą ufność, nadzieję pokładam
I téj ufności będę owoc zbierać.
Tobie więc kornie mą prośbę przekładam;
Mów, ja dla ciebie chcę żyć i umierać.

* * *

Bierz za kij twój, bo czas drogi,
Spiesz do pracy kornie, śmiało;
Żniwo wielkie, żeńców mało
W czasie smutku, łez i trwogi.

Bierz za kij twój, przyspiesz kroku,
Nie trać czasu nadaremnie,
Bo nie idziesz sam, beze mnie,
Bo ja będę przy twym boku.

Idź w ufności i pokorze,
Sam twą siłą nic nie zdołasz;
Lecz gdy w pomoc mnie zawołasz,
Moja łaska cię wspomoże.

Matkę dzieciom przypominaj,
Mów o śmierci, zmartwychwstaniu,
Mów o sądzie, zlitowaniu,
Mów i błagaj, proś, zaklinaj.

Mów, że Bóg chce Polskę zbawić,
Choć ją ciężkim krzyżem gniecie,
A lud polski, boskie dziecię,
Będzie matka błogosławić.

Z krzyżem w ręku, w sercu z Bogiem,
Wskaż na zmarłych ojców kości;
Mów o wierze, o miłości,
Która leży dziś odłogiem.

Tam daleko, za górami
Polskie miasta, polskie wioski;
Nędza, smutek, żal i troski,
Ziemia zlana krwią i łzami.

Tam lud woła: Chleba! chleba!
Bo nam dusza wygłodniała,
Jako twardy głaz się stała,
Odkąd pociech nie ma z nieba.

Podłe kłamstwo roztoczyło
Siły duszy; głos kościoła
Dziś napróżno do nas woła,
Serce jakby się przeżyło.

Dusza żarem wygorzała,
Wichrzą myślą złudne mary;
Jak widownią boskiéj kary
Cała Polska dziś została.

Idź i mów do mego ludu,
By pod krzyżem zgiął kolana
A przebłaga zemstę Pana,
Miłosierdzia dozna cudu.

Gdy się z wiarą siła sprzęgnie
I moc ducha z ostrzem stali,
Skra miłości pierś rozpali,
Przed nią wroga moc ulegnie.

Wzgardź nauką, która truje
Życia jądro, łamie siłę,
I przemienia kraj w mogiłę
I niewoli pęta kuje.

Wszystkiém wzgardź, co nie jest Bogiem,
Co od prawdy cię odwodzi,
Bo fałsz w martwość się rozrodzi,
Wzniosłych uczuć będzie wrogiem.

Polski ludu, nowy Jobie,
Piłeś gorycz z pełnéj czary;
Poznaj kornie boskie kary,
Boś żył długo w grzechów grobie.

Wróć do wiary, wróć do cnoty,
Dawnych grzechów zatrzéj ślady,
W sercu uduś jędzę zdrady,
A powróci twój wiek złoty.

Z ojców wiarą ojców chwała,
Szczęście, wolność do nas wróci,
A czas próby Bóg ukróci,
Zmartwychwstanie Polska cała.

Idź i mów o Częstochowie,
W każdym zamku, w każdéj chatce
Mów o jasnogórskiéj matce,
O téj polskiéj mów królowéj.

Choć cię obelg przyjmą gradem,
Z krzyżem w ręku, w sercu z Bogiem
Stań przed każdym polskim progiem,
Idąc Zbawiciela śladem.

* * *

Matko, u stóp twych składam moje dzięki,
W rzewności ducha korne i serdeczne,
I kij pielgrzyma chwytam do méj ręki;
Pod twą opieką me ścieżki bezpieczne.

I czegom zawsze w głębi duszy żądał,
Dziś błogo widzę ziszczone życzenia;
Będę rodzinny, drogi kraj oglądał,
Ziemię bolesnych wspomnień i cierpienia.

O to nie pytam, jaki mnie los czeka;
Na wszystko gotów, żadnéj nie znam trwogi.
Wiem, że nade mną czuwa twa opieka,
Wiem, że mi z prawéj nie dasz zboczyć drogi.

A jeżli w pracy odstąpią mię siły,
Nie zdołam gwarnych myśli uspokoić,
Kwiatem nadziei umaić mogiły
I w sercach rany głębokie zagoić;

Jeżli nie zdołam mową rzewną, mocną
Serca zwiędniałe w nowy byt odrodzić,
Matko boleści, ty mi bądź pomocną,
Naucz, jak lud twój z twym synem pogodzić.

Obym mógł martwe ożywić sumienia,
By się z grzechowych oczyściły brudów,
Aby lud polski łaską odrodzenia
Jak słońce jaśniał wpośród innych ludów!

Inni powstaną do dzieła przydatni
Jako prorocy i wieszcze w narodzie;
Cnotą, rozumem w ich gronie ostatni,
Będę jak trzcinka przy ciekącéj wodzie.

Będę jak żebrak ubogi, wzgardzony,
Który po żeńcach nikłe zbiera kłoski,
Łzami polewał ojczyste zagony
I słowo boskie niósł z wioski do wioski.

I w kole biednych będę uczył dziatek,
Jak mają chować boskie przykazanie,
I będę mówił do ojców i matek,
Jak wielkie, święte jest ich powołanie.

Że miłość kraju jest z miłością Boga
Scisłemi węzły od wieków spojona,
W niezgodzie ludu cała siła wroga,
A jedność ludu tę siłę pokona.

Gdzie prawdy nie ma, tam nie ma jedności,
A prawdy nie ma tam, gdzie nie ma wiary.
Gdzie nie ma Boga, tam nie ma miłości,
I rozdrobnione przepadną ofiary.

I będę krzyża moc i chwałę głosić;
Że nie wart szczęścia, kto nie znał cierpienia,
Że o to ciągle mamy Boga prosić,
Aby nas drogą prowadził zbawienia.

I będę wielbił, Maryjo, twe imię.
Kto tobie ufa, ten wiecznie nie zginie,
I to, co dzisiaj w serca głębi drzymie,
Za twą pomocą w życie się rozwinie.

Lecz jeżli smutny wyrok przeznaczenia
Wzgardzi mą pracą i działać zabroni,
Będę ze łzami, z boleścią milczenia
Za kraj się modlił w samotnéj ustroni.

* * *

V.

POEZYJE RELIGIJNE ROZMAITÉJ TREŚCI.

Kolenda.

Usnąłeś, Jezu, na Maryi łonie,
I my cię także już pożegnamy;
Twojéj się wszyscy oddając obronie
Do pracy naszéj wesoło wracamy.

Ciebie żegnamy, o niepokalana
Panno, coś światu Jezusa wydała;
Tyś odtąd matka nam ukochana,
Tyś opiekunką naszą została.

Żegnamy ciebie, starcze, co przy żłobie
Strzeżesz Maryi, Jezusa małego.
Święty Józefie, w każdéj życia dobie,
Chciejże być stróżem i serca naszego.

Sercem dziecinném ciebie wychwalamy,
Bośmy się z tobą dzisiaj dziećmi stali;
Choć się od żłóbka twego oddalamy,
Daj, byśmy sercem przy tobie zostali.

Wszakże twoimi my towarzyszami,
Żyć i umierać chcemy dla twéj chwały;
Jeżeli tylko ty zostaniesz z nami,
Nic nie pomoże przeciw nam świat cały.

* * *

Droga życia drogą krzyżową.

Panie, tyś ogień w méj duszy zapalił,
Chcąc, by w niéj miłość świata wygorzała;
Tyś dumę moję o ziemię powalił,
By siłą świętéj pokory powstała.

Chcesz, bym cię kochał, o Panie, nad życie,
Niczego nigdy nie żądał prócz ciebie;
Chcesz, bym na ziemi został krzyża dziecię,
Bym dzieckiem chwały mógł zostać na niebie.

A ja tak długo tobiem się opierał
I gwałtem chciałem zejść z krzyżowéj drogi,
A tyś mi szczęście po szczęściu odbierał,
Żem został nędzny, złamany, ubogi.

Panie, gdzież jesteś? czyś odwrócił ucho
Na serca mego głos tęskny i smutny?
Panie, ty widzisz, jak w duszy méj głucho;
O czemuś dla mnie stał się tak okrutny?

Do ciebie w ciężkiém udręczeniu wołam,
Żebrze ma dusza o twe zlitowanie,
Krzyża już dłużéj dźwigać nie wydołam,
Jeżli ty w pomoc nie przyjdziesz mi, Panie.

Aleś ty długo, długo na mnie czekał,
Tyś na mnie wołał i szukał i prosił,
Lecz ja zuchwale od ciebiem uciekał,
Gdym świat w mém sercu i w méj myśli nosił.

Bałem się krzyża, bałem się cierpienia,
Jak dziecko, co się serca matki boi,
Bom nie chciał poznać w szale urojenia,
Że ranę serca tylko krzyż zagoi.

Dziś znam tę drogę boleści, zaprzenia;
Cierniem zasłana, krwią świętą zbroczona.
Dziś znam tę drogę, miłości, zbawienia;
Pusta, odludna, od świata wzgardzona.

Pójdę cię szukać, choć zwątlonym krokiem,
Pójdę tą drogą bolesną i ciemną;
Pójdę cię szukać łzą zmroczoném okiem,
O Panie, Panie, nie kryj się przedemną!

A w sercu nosząc twoję krwawą mękę,
Pójdę z mym krzyżem przez kolące głogi,
A gdy upadnę, podaj mi twą rękę,
Abym nie ustał wśród krzyżowéj drogi.

* *
*

Tajemnica krzyża.

Błogosławiona każda ta godzina,
Co ci objawia tajemnicę krzyża,
A smutnéj myśli Boga przypomina
I już na ziemi do nieba cię zbliża.

Życie twe pełne żalu i goryczy,
A dusza tęskni łzami przepełniona,
Serce zranione groby tylko liczy,
A na tych grobach twych dzieci imiona.

Wśród tak bolesnych pielgrzymstwa kolei
Niejednęś krwawą już łzę przepłakała,
I z wszystkich szczęścia ziemskiego nadziei
Nadzieja w Bogu jedna ci została.

Lecz ta ostatnia nigdy cię nie zdradzi,
Jaśniéj zaświeci, gdy życie zciemnieje,
I ta ostatnia tam cię odprowadzi,
Gdzie rana serca chwałą zajaśnieje.

Cierpisz, bo dzisiaj żyjesz na wygnaniu,
I ten dług życia łzami twemi płacisz,
A ćwicząc ducha w cichości, kochaniu,
Niebo pozyskasz, choć ziemię utracisz.

Mężnie więc naprzód, bo to Bóg cię woła,
Bóg, co pod krzyża ciężarem upada,
A chcąc z człowieka zmienić cię w anioła
Sam na twe serce ciężki krzyż swój wkłada.

Niech w każdym, który zbliży się do ciebie,
Skrzepła już miłość Boga się rozbudzi,
A nim zostaniesz aniołem na niebie,
Stań się aniołem dla nas biednych ludzi.

* * *

Padoł płaczu.

Czy w boleści, czy w radości,
Ale zawsze płakać trzeba,
Bo bez płaczu to do nieba
Nikt z wygnańców nie zagości.

W pierwszém życia powitaniu
Płacze dziecię, nie wie czego,
Choć mu nikt nie czyni złego,
Bo wie, że jest na wygnaniu.

Różne życia są koleje,
Świata postać wciąż się mieni,
Wpośród światła i odcieni
Wątłe snują się nadzieje.

Ta się spełni, ta ominie;
Dziś radośnie serce bije,
Jutro gorzkim bólem żyje,
A zdrój życia ciągle płynie.

* * *

Oddanie się Bogu.

Nie chcę się więcéj sprzeciwiać twéj woli,
Panie! z pokorą tobie się oddaję,
A chociaż serce tak krwawo zaboli,
W boleściach serca twą dobroć wyznaję.

Nie wiem, dla czego nawiedzasz mą duszę,
Serce i ciało strapieniem, chorobą;
Lecz to wiem dobrze, że cierpieć tu muszę,
Abym przez boleść połączył się z tobą.

Nie wiem, dla czego, lecz wiem doskonale,
Że ojcem jesteś, że kochasz, że zbawiasz,
A wierząc mocno nie troszczę się wcale,
Czy do mnie szczęściem, czy krzyżem przemawiasz.

Chcesz, bym z szczerością, wiarą i ochotą
Ciągnął to życie ciężko jakby w pługu,
Chcesz, bym cierpieniem, miłością, prostotą
Z przewinień moich wypłacił się długu.

Jeźli mnie karzesz, ach, wiem, żem zasłużył.
Karz, pokąd zechcesz, lecz oszczędź na wieki,
A choćbyś życia pielgrzymstwo przydłużył,
To racz przydłużyć i łaskę opieki.

Choć się już wszystkie nadzieje rozbiły,
A urok życia jak mgła się rozpłynął,
O Panie, wesprzyj omdlałe już siły,
Abym w téj walce nędznie nie zginął.

Lecz jeźli cierpię nie za przewinienia,
Łączę mą boleść z zasługą twéj męki,
A krzyż mój, Panie, jak krzyż poświęcenia
Przyjmuję wdzięcznie z ojca mego ręki.

* * *

Pieśń wieczorna.

Dzięki ci, Boże, za ten dzień przeżyły,
Dzięki ci, Boże, za każdą godzinę,
Za zdrowie duszy i za ciała siły,
Dzięki za każdą chleba okruszynę.

I o dzień jeden życie się skróciło.
Czym się w nim nowym grzechem nie zadłużył?
Czy się me serce na lepsze zmieniło?
Czym na twą łaskę, czy na gniew zasłużył?

Jeżlim zawinił, odpuść mi, o Panie!
Przyjm te łzy żalu i poprawy chęci,
Niechaj twa łaska, twoje zlitowanie
Na dalszą życia pracę mnie poświęci.

* * *

Pieśń za umarłych.

Wieczne odpoczywanie
Racz umarłym dać, o Panie,
Którzy w łasce twojéj żyli
I w niéj życie zakończyli.
Niech im jasność twoja świeci,
Bo to twoje, Panie, dzieci,
Coś najświętszą krwią twą zbawił,
Byś im wiecznie błogosławił.

Wieczne odpoczywanie,
Racz umarłym dać, o Panie!
Sprawiedliwy tu bezpiecznie
Żyje i żyć będzie wiecznie,

I nagrodę swą odbierze,
Że cię kochał wiernie, szczerze,
A choć w życiu się zadłużył,
Jednak zawsze tobie służył.
Tyś mu za to dopomagał,
By pokutą cię przebłagał.

Wieczne odpoczywanie,
Racz umarłym dać, o Panie!
Przepuść im dla twéj litości
Grzechy ludzkiéj ułomności,
A na wypłat za ich długi
Niech im służą twe zasługi.
Modły nasze i cierpienia
Niech wybawią ich z więzienia,
By się z tobą połączyli,
Za nas w niebie się modlili.

* * *

Święty Jacek.

Legenda.

Koło Krakowa w rozkosznéj dolinie,
Gdzie Wisła nasza srebrną wstęgą płynie,
Leży Kościelec; wieś piękna, wesoła,
Sady i niwy wieńczą ją dokoła,
Na których Mazur, kmiotek pracowity,
Owoc swéj pracy zbiera snop obfity.
Tam ludek żyje wesoły, zamożny,
Bo pracowity, trzeźwy i pobożny.

Było to właśnie pod wieczór roboty;
Dojrzewał w polu kłos pszeniczki złoty,
A jęczmień ostrym wąsem najeżony,
Na sierp czekając pokrywał zagony.
Już gospodarze sprzątają stodoły,
Parobcy jarzma gotują na woły,
Dziewczęta hoże przy głośnéj gawędzie,
Pachnącą rutę zbierają po grzędzie,
A w chatce stojąc przy dymnym kominie
Prostą wieczerzę warzą gospodynie.
I cała wioska krząta się tak żywo,
By w poniedziałek już rozpocząć żniwo.

Lecz o jak płonne są ludzkie nadzieje!
Jutro zapłacze ten, kto dziś się śmieje.
Boskich wyroków nikt zgłębić nie zdoła,
O wiosko! dzisiaj szczęśliwa, wesoła,
Ty doznasz wkrótce, na jakie odmiany
Człowiek w téj życia pielgrzymce skazany.

Wicher się nagle od północy zrywa
I błękit nieba chmurami pokrywa.
Runął grom. Niebo i ziemia zadrżała,
A grad rozdarta chmura wysypała.
I leci z szumem, trzaskiem i hałasem,
I ścina kłosy, ach, ścina przed czasem.
Zabłysnął dzionek i niebo się śmieje,
Ale na ziemi już znikły nadzieje.
Łzom gorzkim radość ustąpić musiała,
Kiedy na pole wyszła wioska cała.
Sąsiad sąsiada żałośnie się pyta:
Gdzież ma pszeniczka? Ach! tutaj... wybita
Bo ją moc Boska przed czasem złamała
I sierpów naszych już czekać nie chciała.

A gdy tak wszyscy już wkoło dumają,
I łzami kłosy złamane zlewają,
Pan wójt gromady z posiwiałym włosem
Takim do wszystkich odzywa się głosem:
„Słuchajcie tylko, słuchajcie, gromada,
„Tutaj już żadna nie pomoże rada,

„Lecz Bóg w téj ciężkiéj pocieszy nas biedzie,
„Oto ksiądz Jacek wprost tu do nas idzie!"
— „Ksiądz Jacek!" wszyscy radośnie krzyknęli,
Z uszanowaniem czapki z głowy zdjęli.

„Czegoż tak smutni, pobożni wieśniacy?"
— „Ach, księże, patrzaj, owoc naszéj pracy
„Oto tu leży! Potłuczone zboże.
„Już nikt nam więcéj dopomódz nie może.
„Ach, cóż to teraz dziać się będzie z nami
„I co z biednemi poczniemy dziatkami!"
— „Ach, ludku Boży! kto się Boga boi,
„Takiemu rozpacz nigdy nie przystoi;
„A gdy was ciężka dziś trapi niedola,
„Rzeknijmy razem: Stań się twoja wola!
I rzekł i westchnął, na kolana pada,
A z nim przyklęka i cała gromada:
„Wszechmocny Boże, wiekuisty Panie!
„Daj, niech to zboże stłuczone powstanie;
„Jakoś zasmucił, pociesz lud twój wierny,
„Pokaż, o Boże, żeś jest miłosierny!"

Rzekł i ku ziemi korne chyli czoło.
Wtém wójt z przestrachem: „Cud!“ krzyknął; wokoło
„Cudo!“ powtarza gromada zdumiała,
„Jakiego jeszcze ziemia nie widziała.
„Wszakże w radości nie myli nas oko,
„Ach, nie, nie! Kłosy wznoszą się wysoko,
„I każdy kłosek ze źdźbłem swém spojony,
„Piękniéj niż pierwéj pozłocił zagony.
„Ach, księże Jacku, wszakto prożby wasze,
„Gradem złamane wzniosły kłosy nasze!“
— „Nie mnie, lecz Bogu niechaj będzie chwałą!
„To, co widzicie, moc jego zdziałała.“
I to wyrzekłszy, lud pobłogosławił,
I do Krakowa Wisłą się przeprawił.

* * *

Jan Kanty.

Legenda.

Błysnęła na wschodzie jutrzenka złota,
Gwiazdy w nieznane mkną światy.
Z rosą poranną łzami sierota
Nadwiślańskie skrapia kwiaty.

Nie dla niéj piękny świeci poranek,
Świat w szatę światło ubiera;
Żałośnie trzyma w swéj dłoni dzbanek,
A drugą łezkę ociera.

Już Krakowiaków gromadka wesoła
Na targ do miasta się spieszy;
Lecz na sierotkę nikt nie zawoła,
Sierotki nikt nie pocieszy.

Wtém mąż sędziwy wolnym idąc krokiem,
Jan Kanty, chluba Krakowa,
Rzewném sierotkę zmierzywszy okiem
W te do niéj ozwał się słowa:

„Dlaczego płaczesz, dziecino droga?
„Bóg widzi te łezki twoje;
„Wyznaj mi szczerze, ja w imię Boga
„Może twą żałość ukoję.“

A Krakowianka w błękitném oku
Fartuszkiem łezkę ociera,
I kornie stojąc przy jego boku
Drżące swe usta otwiera.

„Jestem sierotą, u mieszczki z Łobzowa
„Służę; ach, ostra to pani,
„Nigdy dobrego nie da mi słowa,
„Lecz zawsze gromi i gani.

„Zaledwie tylko błyśnie poranek,
„Na Kleparz na targ wysyła,
„Abym przedawszy tam mléka dzbanek
„Krupek i soli kupiła.

„A że to jutro święto Boskiéj Matki,
„Chcąc przybrać obraz jéj w wianek,
„Po drodze wonne zbierałam kwiatki;
„Wtém z ręki wymknął się dzbanek.

„I wszystko mléko spłynęło drogą,
„Ot, ślady widać zdaleka.
„Któż się nademną użali niebogą!
„Ach, wiem, co w domu mnie czeka!“

„I czemuż, dziecię, tak rzewnie szlochasz
„I główkę kryjesz w twéj dłoni?
„Ty Matkę Boską tak szczerze kochasz,
„Ona cię pewnie obroni.

„A gdy powrócisz do twéj zagrody,
„Boska cię Matka pocieszy.
„Pospiesz do Wisły, zaczerpniéj wody!“
Sierota ufa i spieszy.

Przyniosła dzbanek, rączki złożyła
I klęcząc pacierz odmawia;
Główkę do ziemi kornie schyliła,
Przed Kantym dzban z wodą stawia.

Jan Kanty krzyżem dzban błogosławił,
Modlił się długo i szczerze,
A gdy modlitwę swoje odprawił,
Dzban wody do ust swych bierze.

Lecz woda w mléko się przemieniła.
„Dziecino, Maryi złóż dzięki,
„Ona cię w smutku twym pocieszyła;
„Dzban mléka masz tu z jéj ręki.“

Na twarzy dziecka płonął rumieniec,
Do nóg się Jana rzuciła,
Boga Rodzicy odtąd już w wieniec
Obraz codziennie stroiła.

* * *

Jan Kanty.

Było to w maju. Na nieba lazurze
Księżyc się wdzięcznie przymilał naturze,
Gwiazdy w nieznane gdzieś mknęły światy;
W srebrzystéj rosie kąpały się kwiaty,
Barwnych motylków igrały roje,
Szumiały lasy i mruczały zdroje,

I gdzie cyprysy blady cień rzucały,
W różanych krzakach słowiki śpiewały,
A w wonnych cytryn spoczywając gaju,
Człowiek na ziemi już dumał jak w raju,
Ach, bo nad inne we włoskiéj krainie
Miodem i mlékiem potok życia płynie.
Lecz i tam radość nie wszędzie panuje,
Bo czegoż w sercu ludzkiém wróg nie struje?
A tam, gdzie szczęście zakwita swobodnie,
Piekło zazdrosne czarne knuje zbrodnie.

Wśród téj tak pięknéj, powabnéj natury
Wznoszą się groźnie abruzyjskie góry,
Od których każdy z przestrachem ucieka,
A gdy je ujrzy, żegna się zdaleka.

Już z bliskich wiosek odbite od skały
Na Anioł Pański dzwony się rozbrzmiały.
Ale na głos ten nikt tu nie uklęka,
Żadna znak krzyża nie uczyni ręka,

Chyba ptaszyna chwiejąc się na drzewie
Hołd Matce Boskiéj niesie w tkliwym śpiewie
I strzepnie skrzydłem, wzniesie się w obłoki.

Lecz cicho; ludzkie zatętniły kroki.
Idzie wędrownik znużony, nieśmiały,
To w niebo patrzy, to na głuche skały
Zwraca wzrok pełen bojaźni i trwogi.
Ach, pewnie zbłądził i szuka swéj drogi.
Pielgrzym z północnych idzie świata krańców
Szukać pociechy w krainie pohańców.
I postać obca, obca jego mowa.
Imię pielgrzyma Jan Kanty z Krakowa.
To słodkie imię w któréjż czułéj duszy
Świętych pamiątek przeszłości nie wzruszy?
Bo kto się cnotą i mądrością wsławi,
Tego wiek późny jeszcze błogosławi.

Poznawszy próżność i złość świata tego
Wyszedł Jan Kanty z domu rodzinnego;

W sercu zranioném przez długie cierpienie
Niósł łzy pokuty i żalu westchnienie.
Morzem i lądem przez różne krainy
Zwolennik krzyża szedł do Palestyny,
A nie żałując przydłużyć swéj drogi,
Chciał apostolskie w Rzymie uczcić progi,
I w tych to górach dziś go noc zastaje,
Gdzie się bandytów przechowują zgraje.
W myśli straszliwe snują się powieści;
Gdy wiatr zaszumi, gdy liść zaszeleści,
Gdy ptak spłoszony rozpuści swe skrzydła,
Krwawe mu trwoga przedstawia mamidła.
Gdy tak się męczył i myślami gonił,
Wiszący u pasa różaniec zadzwonił.
„Daruj, żem uległ płochych myśli mocy,
„Daruj, żem twojéj nie wezwał pomocy.“
I jakby chatki rodzinnéj mieszkaniec,
Spokojnie zaczął odmawiać różaniec.

Idzie. Wtém znagła płomyczek zabłysnął,
Zadrżał, paciorki do serca przycisnął:

„Maryjo, ratuj bo już śmierć ma blisko,
„Maryjo, ratuj, to zbójców siedlisko!“ .

Gdzie mchem obrosłe szumią stare dęby,
Czarnego dymu unoszą się kłęby,
Smolne łuczywo z dzikim płonąc trzaskiem
Krwawym noc ciemną rozwidniało blaskiem,
A przy ognisku już na pół podpici
Gór tych mieszkańce zasiedli bandyci.
A postać groźna, chęć mordów w ich oku,
Ostre sztylety błyszczą się przy boku
I miecze ludzkiéj krwi jeszcze nie syte,
Nowych czekają ofiar w ziemię wbite.
„Kto tu?“ straszliwym głosem zawołali
I wszyscy tłumno z miejsc swoich powstali.
„Kto tu?“ jak tygrys herszt bandytów ryczy
I porwał pistolet wiszący na smyczy.
— „Ach, biedny pielgrzym, obcy w okolicy,
„Idę do Rzymu, do świata stolicy.“ —
— „Pielgrzym? Ha, tobie nic to nie pomoże,
„Mamy i dla was wyostrzone noże.

„Patrzaj, ten sztylet krew twoję wysączy,
„Pod nim się twoja pielgrzymka zakończy."

Jan Kanty jeszcze: „Maryjo!" zawołał
I więcéj mówić i prosić nie zdołał.
— „Bogarodzicy kiedyś wezwał imię,
„Już tobie życie daruję, pielgrzymie,
„Ale pieniądze składaj w ręce nasze;
„Inaczéj spojrzyj na gołe pałasze." —
— „Ach wszystko, wszystko, co niosę przy sobie,
„Wdzięczny za życie chętnie daję tobie."
— „Lecz czyś dał wszystko? Pielgrzymie, mów szczerze."
—„Wszystko."— „Idź daléj, słowu twemu wierzę."

Jan Kanty złożył Bogu szczere dzięki
I wziął przerwany różaniec do ręki.
„Maryjo! westchnął, tyś matką miłości,
„Ty dzisiaj okaż cudo twéj litości;
„Od śmierci moje wybawiłaś ciało,
„Wybaw i jego duszę zatwardziałą.

„On na twe imię życie mi darował,
„On się nad biednym pielgrzymem zlitował;
„Zlituj się, matko, i ty nad grzesznikiem,
„Oświeć mu serce twéj łaski promykiem.“

Wyrzekł i nagle stanął jakby wryty,
Zdrój łez z ócz jego wylał się obfity.
„Matko! ma prożba daremną nie była,
„Stracona o nim nadzieja odżyła.“
I kroki zwrócił, gdzie zbójców zostawił,
Bogarodzicę idąc błogosławił.

„Ha, po cóż do nas, pielgrzymie, spieszycie?
„Czyż bez pieniędzy ciężarem wam życie?
„Lecz jeżli życie jeszcze tobie drogie,
„Wara, już daléj nie posuwaj nogi.“

— „Chociaż pod mieczem może waszym zginę,
„Powiem wam mego powrotu przyczynę.
„Rzekłem, iż tobie do ręki oddałem
„Pieniądze wszystkie, co przy sobie miałem.

„Patrz na ten talar, na którym wyryty
„Obraz Maryi, przypadkiem ukryty;
„Tobie rzetelnie teraz go odnoszę,
„O przebaczenie za niepamięć proszę.“ —

— „Pielgrzymie, tyś mię przezwyciężył cnotą
„Pokaż ten pieniądz, a weź swoje złoto.“
I herszt bandytów wlepił w pieniądz oko
I dumał długo i wzdychał głęboko.
„Talar zatrzymam, nie pytaj, dlaczego,
„Błagaj Maryją za mnie nieszczęsnego.“

Odtąd był pokój w abruzyjskich górach;
Ale w klasztornych gdzieś Kartuzów murach
Po długich leciech pokutnik umierał.
Gdy pot śmiertelny brat z piersi ocierał,
Ujrzał zdziwiony talar w szkaplerz wszyty,
A na nim obraz Maryi wyryty.

* * *

167

VI.

POSELSTWO ANIOŁKA W NIEBIE

do matki na ziemi (13).

Zwiędły już kwiaty i uschły na ziemi,
Bo zimne wiatry piękność ich zmroziły;
Ale gwiazdeczki na niebie, nad niemi
Świecą tak, jak i w czasie wiosny im świeciły.

Kwiaty na ziemi, to piękne marzenia,
Co wiosnę życia nadzieją nam mają;
Gwiazdki na niebie to Boskie natchnienia,
Które nam nigdy świecić nie przestają.

* * *

Głos mój podnoszę do Boga Rodzicy
Tu z pod ubogiéj tego domku strzechy,
Bo w duszy mojéj smutno jak w ciemnicy,
Wygasły wszystkie życia w niéj pociechy.

A to tak ciężko rozłączyć się z niemi,
I wśród tęsknoty dodźwigać to życie!
Jednak kto pociech chce szukać na ziemi,
Ten miasto pociech łzy zbierze obficie.

Głos mój w boleści do ciebie podnoszę,
Przed tobą całą wylewam mą duszę;
O jedno tylko w pokorze cię proszę,
Daj dobrze cierpieć, jeżli cierpieć muszę.

Daj, bym przy tobie pod tym krzyżem stała
I gorzką smutku z tobą piła czarę,
Daj, bym przy tobie w cichości wytrwała
I życia ciężką spełniła ofiarę.

* * *

Panie, tyś uczuł smutek i trwogę,
Kiedy pot krwawy oblał ciało twoje,
Z krzyżem bolesną odbywałeś drogę,
Ach, bo tym krzyżem były grzechy moje.

Idę za tobą. Lecz jak wzdęte morze
Boleść się na dnie méj duszy rozlała;
Idę za tobą w cichości, w pokorze,
W żałobie serca szczęściu owdowiała.

Co kwiatem kwitło, w cierń się przemieniło,
I urok kłamstwa prawdą się rozwinął;
Co było światłem, nocą się zaćmiło,
A świat urojeń w świecie prawdy zginął.

Lecz szczęście tracąc ciebiem nie straciła.
Dlatego na łzy moje nie narzekam,
Tylkom krzyż świata na krzyż twój zmieniła.
Panie, pod krzyżem na twe przyjście czekam.

* * *

Kto w życia wiośnie nadzieją się łudzi,
O szczęściu marząc cieszy się zawcześnie,
Późniéj lub pierwéj ze snu się przebudzi
I życia prawdę zrozumie boleśnie.

Bo życie pracą, ale nie nagrodą,
Nagrodę życia trza okupić czynem;
Bo życie walką, ale nie swobodą,
Tylko zwycięstwo zdobi się wawrzynem.

Bo nie do szczęścia jesteśmy stworzeni,
W niebie spoczynek, a na ziemi praca;
Choć się na chwilkę szczęściem rozpromieni,
Serce na drogę boleści powraca.

Uczyń ty ze mną wedle twojéj woli,
Choć we łzach tonąc nie będę narzekać;
Cierpię na krzyżu z tobą, to nie boli,
Ale to boli, od ciebie uciekać.

* * *

Czy nie dosyć szczęścia mamy,
Kiedy ciebie, Jezu, znamy,
Kiedy możem iść za tobą
Choć z boleścią i żałobą,
Gdy nam wolno kochać ciebie,
Być na ziemi, a żyć w niebie,
A krzyż dla tych, co cię znają,
A krzyż dla tych, co kochają,
Nie jest hańbą, lecz ozdobą,
Jest boleścią i radością,
Jest nadzieją i miłością.
Świat zawiedzie, krzyż nie zdradzi,
Świat oszuka, krzyż doradzi;
Krzyż przewodnik pewny, wierny,
Krzyż do nieba jest odźwierny.

Swiat do piekła nas pogoni,
Krzyż przed światem nas zasłoni;
Świat przeminie, krzyż nie minie,
Kto w krzyż wierzy, nie zaginie.

* * *

Gwiazdeczko jasna na serca błękicie,
Rozpromieniłaś smutne moje życie;
Tyś mi tak błogo w życiu świeciła,
Tyś mi tę ziemię w raj przemieniła.
Rozpromieniony szczęścia urokiem
Świat się rozwinął przed mojém okiem.
Z gwiazdeczką moją wszystkie ożyły
Gwiazdki, co w chmurach życia się kryły;
Ale nad wszystkie tyś mi jaśniała,
Strumieniem światła drogę usłała.
W tobie gwiazdeczko serce me żyło,
Z tobą żyć dobrze, tak dobrze mi było!

Gdym na cię gwiazdko moja patrzała,
Tom Boga, ludzi, lepiéj kochała;
Gdym cię pod sercem mojém pieściła,
Tom się i rzewniéj, święciéj modliła.
Tyś się méj duszy stała odrodzeniem,
Spokojnie żyłam pod twoim promieniem;
A kiedy dusza czasem zabolała,
Gdym łzawém okiem na ciebie spojrzała,
Gdym cię pieściła na moim ręku,
Piłam pociechę w słów twoich dźwięku.
O gwiazdko duszy mojéj tak droga,
Tyś dla mnie była gwiazdeczką Boga
Dzisiaj cię nie mam przy moim boku.
Czy tęsknisz za mną w chwały obłoku?

* * *

Dobrze mi mamo, było u ciebie,
Ale mi lepiéj świecić na niebie!
Bóg mnie pod sercem twojém zapalił,
Od twego serca mnie nie oddalił,
Tylkom do nieba mego wróciła,
Bym jaśniéj, święciéj tobie świeciła;
Lecz twoją jestem, twoją zostanę,
A jeżli czujesz w sercu twém ranę,
Ja mym promieniem ranę zagoję,
A jak się nocne wiją powoje,
Tak duszę twoję, myśl twą owinę,
W nieba, wieczności, porwę krainę.
Gwiazdka twe drogi życia rozświeci
W domowém kółku, wśród twoich dzieci.

A gdy cię ciężki smutek owionie,
Niechaj twa dusza w gwiazdce utonie.
Witaj mnie w szczęściu, witaj ze łzami;
We dnie i w nocy świecę nad wami,
A jako z Bogiem na ziemi żyjesz,
Gwiazdkę twą w niebie duszą wykryjesz.
Tam ona żyje, kocha bezpiecznie,
Żyć, kochać, świecić będzie tam wiecznie.
Gdy łzę ostatnią życia wysączysz,
Z gwiazdką się twoją na wieki złączysz;
I świat i życie, wszystko przeminie,
Kto Bogu ufa, ten nie zaginie.

* * *

Całe życie jedna chwilka!
Czy żałujesz tych łez kilka?
To bogactwo twojéj duszy,
Bo Bóg sam te łzy osuszy,
I osuszy i przemieni
I gwiazdami rozpromieni.
Czy wiesz, co to życia długi?
Czy wiesz, co to łez zasługi?
Czy wiesz, co to grzechu trądy?
Czy wiesz, co to Boskie sądy?
Sprawiedliwość niepojęta,
Niezbłagana, nieugięta.
Jeźli chcesz być krzyża wrogiem,
Z czémże staniesz przed twym Bogiem?

Któż w ciemności swéj odgadnie,
Jaki wyrok nań wypadnie?
Więc tych świętych łez nie żałuj,
Lecz, w pokorze krzyż ucałuj.
Syn człowieczy gdy przybędzie,
Krzyż cię wtenczas sądzić będzie.
Tego, który krzyż miłuje,
Krzyż na sądzie pocałuje;
Kto przed krzyżem nie ucieka,
Tego chwała krzyża czeka.

* * *

Lilijko moja, lilijko biała,
Czemuś tak prędko dła mnie zwiędniała?
I twojéj barwy świeżość pobladła,
I twoja piękność dla mnie opadła!
Ja ciebie w sercu mém posadziła,
Ja ciebie łzami memi zrosiła,
Nad tobą we dnie, w nocy czuwała,
Jam ciebie sercem, myślą kochała.
Lilijko moja, o rajski kwiecie,
Tyś niebem mojém była na świecie.
O czemuś, czemuś mnie opuściła,
Czyś się w ogródku moim stęskniła?
Smutkiem zorane dziś moje czoło,
Oczy łzą płaczą, patrząc wokoło,
Szukając ciebie, ach, nadaremnie!
Powiedz, czy smutno tobie beze mnie?

* * *

Dobrze mi było, mamo, u ciebie,
Ale mi lepiéj dziś z Bogiem w niebie.
Koło lilijki cierń się nie jeży,
Niebo z gwiazdkami u stóp mych leży.
Tu mnie nie straszą zimowe lody,
Tu wieczna wiosna szczęścia, swobody;
Tu mnie już złości świata nie zbrudzą,
Tu mnie już kłamstwa świata nie złudzą.
W wiecznéj światłości, w duszy pogodzie,
Kwitnie lilijka w Boskim ogrodzie.
Tu aniołowie pieszczą się ze mną,
Boga Rodzica czuwa nade mną.
Tu nie masz nocy, tu nie masz mroku,
Ni rany w sercu, ani łzy w oku.

Tu na cię patrzy, patrzy zdaleka
Twoja lilijka; na ciebie czeka,
I ciągle kwitnie i nie okwita,
Jak cię żegnała, tak cię powita.
Dobrze mi było, mamo, u ciebie,
Lepiéj ci będzie ze mną być w niebie.

* * *

VII.

POEZYJE ŚWIECKIE.

Rada w smutku.

Ciągną ze wschodu czarne chmur bałwany,
Gwiazdy na nieba sklepieniu nie błyszczą,
Zakrył się księżyc, mroźne wichry świszczą,
A z szumem pędzi potok rozhukany.

Lecz wnet ta czarna rozbije się chmura;
Patrz, jak ten obłok przed wichrem uchodzi,
Twarz swoję blady księżyc rozpogodzi,
A nowém życiem odetchnie natura.

Tak gdy się ciemno twe życie zachmurzy,
Gdy ciężki smutek serce twoje dręczy,
Myśl, że zwycięstwa palma tego wieńczy,
Co niewzruszony stał w pośrodku burzy.

Szczęście i smutek idą na przemiany;
Wszak słońce zawżdy wiosenne nie grzeje,
I wiatr wiosenny też ciągle nie wieje,
Lecz ten trwa zawsze, który goi rany.

Jeżli więc smutek twe serce przyciśnie,
Gdy oko twoje zaleje się łzami,
Wznieś wżrok ku temu, co rządzi nad nami,
A wnet ci promyk nadziei zabłyśnie.

* * *

Wieczór.

Rosa już chłodząca pada,
Kryją się góry pomrokiem,
Lecz gwiazda miłości blada
Świeci na niebie wysokiém.

To, co niebieskie sklepienie,
Słońce, oświeca tak jaśnie,
Gdy padną wieczorne cienie,
Kryje się zwolna i gaśnie.

A kiedy słońce się kryje,
Przynosi wietrzyk sen lekki;
Wszystko, co kocha i żyje,
Zamyka zwolna powieki.

Nikną już dniowe obrazy,
Świat się powłoką pokrywa,
Tylko na grobowe głazy
Księżyc swą światłość rozlewa.

A w cichość wesołe życie
Zmieniło zaszłe już słońce,
Chociaż na niebios błękicie
Drżą gwiazd jaskrawych tysiące.

Sen oko kiedy zawiera,
Kwiat wyobraźni rozwija;
Łzę smutku kiedy ociera,
To smutek choć we śnie mija.

A w słodko łudzącéj ciszy
Człowiek spokojnie oddycha,
Sfer harmonią gdy słyszy,
We śnie się mile uśmiecha.

* * *

Piosnka.

Gdy się wszystko wkoło śmieje,
Wszystko pęka, rośnie, żyje,
Potok mruczy, wietrzyk wieje,
A po skałach kwiat się wije;

Gdy się pieszczot zdrój rozleje,
Każde serce szczęściem poi,
Starzec z dzieckiem wraz się śmieje,
Wiosna każdą ranę goi.

Gdy się każdy kwiat rozwija,
Serce więcéj się nie kryje;
Szczęście błysło, smutek mija,
Świat miłością tchnie i żyje.

Kwiaty, co nadzieja rodzi,
Miłość w wieńce pełne splata,
Miłość gorzkie soki słodzi,
Łzy z uśmiechem wraz przeplata.

* * *

Motyl.

Il ressemble au desir qui jamais
ne repose.

Tu na uschłym siądź badylku,
Ciemny padł na skały mrok;
Długoś bujał, o motylku,
Z barwnych kwiatów zbierał sok.

Już się wonny kielich zwinął,
Pod łzą nocy pączek zgiął,
Bluszcz po twardéj skale spłynął,
Co się tęskno w górę piął.

Tyś żyć począł z wiosny tchnieniem,
Gdy liść blady okrył las;
Dziś pod jego spocznij cieniem,
Płochych chwil już minął czas.

Wyobraźni lekkie skrzydła
Wyprzedzały i twój lot;
Czas potargał zmysłów sidła,
Myśl ma inny wzięła zwrot.

Usiądź przy mnie, przestań lecieć,
Tu zdrój mruczy, tu nasz raj,
Chcesz i w nocy skrzydłem świecić,
Przez powietrzny lecąc kraj?

Lecz ty lecisz dalèj, dalèj,
Ciebie inny wabi kwiat;
Gdzie się hoża róża pali,
Tam chcesz usnąć, tam twój świat.

Wkrótce cienie noc rozrzuci,
Skryjesz się w jéj listków zwój;
Piosnkę nocną ci zanuci
Pracowitych pszczółek rój.

Robak w głąb się róży wkradnie,
Zgryzie pączek, zniknie woń,
A po listku liść opadnie;
Kolec słaba róży broń.

Jasna tęcza barw twych zgaśnie,
Gdy liść zżółkły strząśnie dąb;
Kolec róży skrzydło draśnie,
Tknie i ciebie czasu ząb.

Dokąd lecisz, już nie pytam,
Dokąd dążę, nie wiem sam;
Ty się kwiatów, ja skał chwytam,
Lecz do grobu drogę znam.

* * *

Zapytanie.

Gwiazdo, ciebie chcę się spytać,
Powiedz, jaki mię los czeka?
Z twego blasku chcę wyczytać,
Jaki życia cel człowieka?

Ale gwiazda milcząc świeci
To raz bledziéj, to znów jaśniéj;
Wiatr się zrywa, chmura leci,
Gwiazda w czarnéj chmurze gaśnie.

Nadaremnie! Lampa nieba
Życia nam nie wskaże drogi.
Milcząc śmierci czekać trzeba,
Wzniecać wiarę, koić trwogi.

Wieczór wschodzić, rankiem ginąć
I rozjaśniać nocne cienie,
Po błękicie nieba płynąć,
To jest gwiazdy przeznaczenie.

Ale ciemne chmur bałwany
Nieraz błękit nieba skryją,
A w ocean rozhukany
Zdradne gromy z nieba biją.

Rzuć się mężnie w te odmęty,
Niechaj życia łódka płynie,
A nadziei sztandar święty
Wpośród burzy się rozwinie.

W niebo czyste zwracam oczy,
Panie, wierzę, ufam tobie,
Jasny tęcza krąg roztoczy,
Gwiazda życia świeci w grobie.

* * *

Sokół.

Tu ci żle na dole,
Gdzie Prut toczy fale,
Dla tego, sokole,
Usiadłeś na skale.

Usiadłeś wysoko,
Sokole ponury,
W słońce wlepiasz oko,
W szpony chwytasz chmury.

Ty do słońca dążysz,
Ty bujasz po górach,
Ty w powietrzu krążysz,
Ty się kąpiesz w chmurach.

Gdy zaszumią burze,
Ziemia zadrży trwogą,
Gromy skryte w chmurze
Roztraskać cię mogą.

Lecz dzisiaj, sokole,
Wolne rozpuść skrzydła,
Ptasznik tylko w dole
Zdradne stawia sidła.

Strzępiasty sokole,
Leć w powietrzne tonie,
Leć, gdzie gwiazdy w kole,
Leć, gdzie słońce płonie.

Leć, uchodź z obłokiem;
Ja na skale siędę,
Ciebie bystrém okiem
W chmurach ścigać będę.

Nie dolecą strzały,
Kula nie zaświeci
Tam, gdzie wzrok mój śmiały
Za tobą poleci.

I wraz z tobą chmury
W szybkim minie zwrocie,
Wraz z tobą ponury
Obłok przemknie w locie.

Jak powietrzne sidła
Sokół mgły przecina,
Nastrzępiwszy skrzydła
Do słońca się wspina.

Słońce ognie ciska,
Sokół skrzydłem bije,
Piórami połyska,
W chmurach rosę pije.

Wśród powietrznéj toni
Niknie, oko woła;
Ten głos nie dogoni,
Nie zwabi sokoła.

Chociaż przed mém okiem
Skryłeś się w téj chmurze,
Ja za tym obłokiem
Znajdę cię w lazurze.

W słońce mknę głęboko,
Chmury, mgły odsłonię,
W ziemię spuszczę oko,
Myślą cię dogonię.

* * *

Grobowiec w puszczy.

Niebo błękitne, księżyc rozogniony,
Stóletnie dęby nachylają czoła,
Zdaleka głuche słychać cerkwi dzwony,
Trąby pasterskie jęknęły dokoła.

Wszystko się modli i ja kończę modły,
Na krzyżu oparty samotny wędrowiec;
Lecz nim odejdę, uszczknę gałąź jodły,
Świeżemi kwiaty uwieńczę grobowiec.

Grobowca głuchego w gęstéj krzewiny
Strzegą olbrzymie, mchem porosłe sosny,
A na grobowcu krzyż z twardéj cisiny,
Barwnemi kwiaty uwieńczony wiosny.

Czyliż i puszczę ożywia westchnienie?
Któż w wieńce splatał te kwiaty, te kłosy,
W które księżyca wplątane promienie
Drżą w kroplach czystych, w kroplach łez czy rosy?

Kiedy myśliwy hardy i zuchwały
Przez te wyłomy lotną sarnę goni,
Gdy się zapuści między knieje, skały,
Stanie przy krzyżu i łezkę uroni.

Widząc znak krzyża pielgrzym zboczy z drogi
I z łzawém okiem przyklęknie na grobie,
Osty wyrywa, poobcina głogi,
W pamiątce gałąź zostawia po sobie.

Hoża Hucułka z téj pobliskiéj chatki,
Gdy księżyc blady zpoza skały wschodzi,
Nad brzegiem Prutu zbiera barwne kwiatki,
Niemi krzyż wieńczy, z modlitwą odchodzi.

Któż ten grobowiec usypał wysoki?
Któż krzyż wyciosał, pozasiewał kwiaty?
Któż garstką ziemi przysypał te zwłoki?
Któż nad tym grobem modlił się przed laty?

Któż tu przychodził cień błędny przywitać,
Gdy z grobu wstaje w północnéj godzinie?
Tych skał, tych jodeł możesz się zapytać,
Zapytaj Prutu, co przy grobie płynie.

* * *

Echo.

Chciałem wesołą piosenkę zanucić,
Gdy noc już ciemne rozrzuciła cienie,
I chciałem przerwać natury milczenie,
Uśpione echa mym śpiewem pokłócić.

Pieśń była krótka, pieśń wesołéj treści,
Pieśń, co westchnienie w głębi duszy tłumi.
Cicho, to echo! — Nie, to wiater szumi.
Cicho, to echo! — Nie, to liść szeleści.

I głos uleciał, ponure milczenie,
Liść zaszeleściał i wiater zaszumiał.
Prut daléj płynie, Prut mię nie zrozumiał,
Spełzło méj duszy gorące marzenie.

Więc nie ma echa w téj martwéj naturze?
Każde uczucie w duszy grób swój grzebie?
Więc nie ma echa na ziemi, na niebie,
W sercu powstają, w sercu gasną burze?

Westchnąłem, obok westchnęła i skała,
Słyszałem oddźwięk własnego westchnienia,
Jak się o twarde odbijał sklepienia,
Głos czysty, jakby i w głosie łza drżała.

I echa wkoło obudzone nagle
Wspólném westchnieniem odbiły głos duszy,
Jak kiedy burza ciche wody wzruszy,
Zaszumi ostry wiatr w rozpięte żagle.

Jak z słońca promień, głos z duszy wypłynął,
Zamilkł i w duszy zostawił milczenie;
Lecz ciągle własne słyszałem westchnienie,
Słaby głos głosów tysiące rozwinął.

I coraz ciszéj gubi się w oddali,
Jak wąż się wijąc między skały skrycie,
Gaśnie, jak gaśnie w dziecku, w starcu życie,
Jak w kwiatu listkach nikną krople fali.

Więc i natura ma także westchnienie,
I naszą duszą jéj dusza oddycha?
Gdy źródło uczuć już w sercu wysycha,
Ona łzy suszy, podziela cierpienie.

Tam, gdzie bezludne, dzikie, zimne góry,
Tam, gdzie cyprysy rozrzucają cienie,
Tam, gdzie grobowe wznoszą się kamienie,
Tam drzymią echa, tam dusza natury.

Ona ucieka od zgiełku, od ludzi,
Jak koń puszczony na stepy bez końca;
Lecz komu gasną już nadziei słońca,
Każdém westchnieniem jéj echo obudzi.

* *
*

Góry.

Dzień w górach, noc w dolinie!
Tu w gasnącym słońca blasku
Lśnią się kwiaty w połoninie (14),
Jak w nadbrzeżnym perły piasku.

W dole niemy Prut połyska
Jak wąż, gdy wśród ziół się wije;
Tu zpod głazów zdrój wytryska,
A przy zdroju sarna pije.

Ziemia niknie już w oddali
A nad ziemią mgły zwieszone,
Księżyc wpośród chmur się pali,
Ciemną spuszcza noc zasłonę.

Noc jak chmura groźna, czarna,
Życie w grobu wtrąca ciszę,
Chyba lotna przemknie sarna
Lub wiatr jodły rozkołysze.

Nowe czucie, śmielsze życie
Tu na górach, niż w dolinie,
Kiedy stojąc na skał szczycie
Chmura popod nogi płynie.

Wszystko głucho jak w oazie,
Ale w duszy myśl ożyła,
Myśl ukryta, jakby w głazie
Drogich kruszców skryta żyła.

Gdy radości łzę wyleję,
Nieraz gdy się mniemam w niebie,
Zimny czasu duch zawieje
I mej myśli grób wygrzebie.

Jak w zarodzie pączek ginie,
Tak lotna myśl usycha,
Albo w insze światy płynie,
Innèm życiem tam oddycha.

Tu, gdzie skały mkną olbrzymie,
Tu, gdzie śmielsze serca bicie,
Tu i myśl, co w duszy płynie,
Czuje nową młodość, życie.

* * *

Prut.

Podróżny.

Chciałem odpocząć, stanąłem na brzegu;
Szumiały fale modre, przeźroczyste.
Ach, tylko chwilkę, jednę chwilkę w biegu
Chciejcie się wstrzymać me fale ojczyste.

Fale.

Bywaj zdrów, bywaj zdrów!
My się wstrzymać nie możemy;
Co masz mówić, prędzej mów,
Z twém westchnieniem popłyniemy.

Podróżny.

Tutaj na brzegu rosną barwne zioła,
Tutaj na brzegu igrają motyle;
Któż na was czeka? mówcie, któż was woła,
Że się nie chcecie wstrzymać ani chwilę?

Pierwsza fala.

Ja do grobu, spokój w grobie;
Chcesz mię wstrzymać, nadaremno;
Jeżli tęskno, smutno tobie,
Uchodź ze mną, uchodź ze mną.

Podróżny.

Na próżno błagam, jużeście daleko,
Już inne fale znów spieszą za wami;
Czyliż otwarte dla was trumny wieko
Czas niezwiędłemi uwieńcza kwiatami?

Druga fala.

W grobie życia rośnie kwiat,
Tutaj tylko burz odmęty;
Nowy byt, nowy świat,
W grobie życie, pokój święty.

Podróżny.

Wami i nami władnie przeznaczenie;
Pieniąc się, szumiąc płyną spiesznie fale.
My także mamy i łzy i weschnienie;
Drży obraz życia w czystych wód krzysztale.

Trzecia fala.

Drży i szumi dawna fala
I srebrną kroplą połyska,
Z szumem nowa pędzi zdala
I w grób starą falę ciska.

Podróżny.

Czemuż spokojnie jedna obok drugiéj
Nie chcecie razem mknąć do grobu z nami?
Kres życia blisko, ciąg czasu nie długi,
Spoczniemy razem między mogiłami.

Czwarta fala.

Uchodź prędzéj, patrz na wschód,
Jakie groźne w chmurach blaski;
Ponad brzegi wezbrał Prut,
Wiatr zburzone pędzi piaski.

Podróżny.

Żegnam cię, Prucie, i was zdradne fale,
Gdzie jedna drugą w grób z wściekłością wtrąca;
Tam pod jodłami, tam na twardéj skale
Także się fala sączy zimna, drżąca.

Ta fala cicha jakby myśl zamknięta,
Co człowiek w głębi swego serca tłumi;
To fala czysta jakby ta łza święta,
Łza, którą tylko nieszczęście zrozumie.

* * *

Żebrak.

Wstrzymaj krok spieszny, dobra, piękna pani,
Żebrak cię błaga, drżącą dłoń wyciąga;
Zimne spojrzenie serce moje zrani,
Piękność nieszczęściu nigdy nie urąga.

Łza nie przygasi ognia w twojém oku,
Łezka współczucia ucieszy anioła;
Gwiazdę przyćmioną w deszczowym obłoku
Bóg nowym ogniem rozżarzyć wydoła.

Niegdyś w dostatki, w uczucia bogaty,
Byłem szczęśliwym, dziś żebrak już stary;
Nie płaczę marnych bogactw mych utraty,
Chciéj, bym nie płakał utraty méj wiary.

Jam kochał ludzi, w sercam ludzkie wierzył;
Lecz gdy nieszczęścia godzina wybiła,
W najtkliwsze czucia serca grom uderzył,
Wtenczas i wiary gwiazda się zaćmiła.

Dla mnie już dzisiaj tak mało potrzeba;
Śmierć skrzętna ciche gotuje mieszkanie.
Daj mi na drogę jeszcze kawał chleba,
Żebrak z tym chlebem na sąd straszny stanie.

Z wieńca twych uczuć uszczknij jeden kwiatek,
Kwiatek niezwiędły bliźniego miłości;
Święcie przechowam w sercu serca datek,
Tobie go oddam u progu wieczności.

* * *

Huculska ptaszyna.

Przyleciałaś tu, ptaszyno,
Między dzikie góry,
Chcesz przyczepić twe gniazdeczko
Do przelotnéj chmury.

Leć w doliny, leć w równiny,
Tam zamki i grody,
Tam są spichrze pełne zboża
I kwiatów ogrody.

Na szerokich, żyznych łanach
Już żółknieje zboże,
Tu ci ziarna biedny Hucuł
Posypać nie może.

Tam weseléj, tam swobodniéj
Latać tobie będzie,
Tutaj w polu jodły rosną,
Głaz sterczy na grzędzie.

Tutaj matka nie wyżywi
I własnéj dzieciny;
Leć, ptaszyno, w inne strony,
W podolskie równiny.

Nie polecę, nie porzucę
Huculskiéj zagrody,
Bo mi milsze wasze lasy,
Milsze górskie wody.

Pod tą strzechą matka moja
Gniazdeczko zlepiła,
Ja w téj chatce z twą dzieciną
Razem się rodziła.

Tu mnie matka nauczyła
Smutną piosnkę nucić,
Ja tu z wami chcę pozostać
I z wami się smucić.

Latać będę po tych skałach,
Kryć się w téj gęstwinie,
Będę z wami w cichéj nocy
Śpiewać w połoninie.

Dla was ja nie pożałuję
Do lotu skrzydełek,
Bo wiem, że wy dla mnie zdradnych
Nie macie sidełek.

I na cmentarz nieraz zlecę,
Gdzie są wasze groby,
I na krzyżu tam usiędę
Nucąc pieśń żałoby.

A więc dajcież mi umierać
Tam, gdziem się rodziła,
Bo ta ziemia nad świat cały
I ptaszynie miła (15).

* * *

Wyjątek z listu.

. . . Tu tak miło i swobodnie dzień po dniu schodzi,
A myśl żadną pracą nie starta mozolną
Buja po niebie, czuje się wolną;
Lecz biedne serce w tym cięższéj niewoli
Czuje za nadto, co dręczy i boli;
Czuje i płacze samotnie, ukradkiem,
I jeszcze wspomnień i uczuć ostatkiem

Chciałoby zgasłą w sobie iskrę wzniecić,
Chciałoby tęsknych marzeń noc rozświecić,
Aby ta martwość znów się życiem stała,
Strumieniem słowa w życie się przelała.
Ale napróżno; pod stępioną stalą
Jasne się iskry nigdy nie rozpalą.
Dawnych już wpływów moc zgięta i starta,
Dusza dla bólu jedynie otwarta,
Chciałaby kochać, jak dawniéj kochała,
Chciałaby działać, jak dawniéj działała.
Szukając siły w dawnych lat pamięci
Do czynu dowieść już nie może chęci;
W sercu sen śmierci, na ustach milczenie,
I całe życie to jedno westchnienie.

* *
*

Piosnka Przewoźnika.

Nad Dniestr mój nie masz rzeki;
Co tak pięknie płynie;
Płynie, szumi w kraj daleki,
Aż gdzieś w morzu zginie.

Bo to Dniestr nasz ojczysty,
Znany w całym kraju,
Jako krzyształ przeźroczysty,
Jako rzeka raju.

Lodem ścięty, burzą wzdęty,
Nieraz groźny, srogi,
Hardy, dumny, nieugięty,
Jednak sercu drogi.

Dźwiga statki i galary
Na śrebrzystym grzbiecie,
I rozwozi Boskie dary
Gdzieś po całym świecie.

Fale dzwonią, fale gonią
Aż w morskie głębiny.
Jak te fale dzwonią, gonią,
I życia godziny.

* * *

Piosnka Kołodzieja.

Koło goni, koło dzwoni,
Aż pęknie i stanie.
Serce boli, myślą goni,
Aż i bić przestanie.

Bo przez różne progi, drogi
Koło się potoczy.
Czyś bogaty, czyś ubogi,
Śmierć cię w grób zatoczy.

Różne sprychy w mojém kole,
Różne w życiu chwile;
Różne szczęścia, różne bóle,
Ucichną w mogile.

* * *

Piosnka Grabarza.

Kop, mój rydlu, kop,
W ziemi kilka stóp,
Grób széroki, grób głęboki,
Tam zmarłego złożym zwłoki.
Kop, mój rydlu, kop,
W ziemi kilka stóp.

Wszystko, co tu mam,
Tobie, ziemio, dam,
Bogu duszę, ziemi ciało,
By w dzień sądu zmartwychwstało.
Kop, mój rydlu, kop,
W ziemi kilka stóp.

Tam, gdzie grobu noc,
Tam i Boska moc,
Na dniu sądu się pojawi,
Jednych zetrze, drugich zbawi.
Kop, mój rydlu, kop,
W ziemi kilka stóp.

A kto Boga zna,
O umarłych dba,
Co się z Bogiem połączyli,
Jeźli w łasce jego żyli.
Kop, mój rydlu, kop,
W ziemi kilka stóp (16).

* * *

15

Tu i tam.

Żyć na świecie, to tak nudno,
A umierać, to tak trudno.
I w tém życia zwrotném kole
Lotne szczęście, trwałe bole,
Bo to życie nie zabawa,
Ale praca, gorzka, krwawa.
A choć młodych lat poranek
Wije dla nas marzeń wianek,
Choć, gdy miłość ją rozgrzewa,
Pierś rozkoszy pieśń wyśpiewa,
To i wianek ten opadnie,
Gdy go świat owionie zdradnie,
To i pieśń tę w głębi duszy
Fałszu brzmieniem świat przygłuszy.

Serce ciągle coś utraca,
Ciągle w bole się zbogaca.
Szczęście świata głoska marna,
Prawda świata chmura czarna,
Która wówczas się rozświeci,
Gdy z niéj zgubny grom wyleci.
Żadna miłość, chwała, radość
Nie uczyni sercu zadość;
Dusza ciągle tęskni, kona,
Z nieba w ziemię przesadzona,
I do szczęścia nie powróci,
Pokąd ziemi nie porzuci.

* *
*

Dobosz.

Pieśń huculska gór karpackich

z okolicy Mikuliczyna.

Gdzie się jodeł las zieleni,
Gdzie po łące Prut się pieni,
Idzie Dobosz (17) dzikim borem
I podpiera się toporem,
Bo głęboka w nodze rana
Ostrém cięciem mu zadana.
Stanął, w dłonie ostro świsnął,
Topor za toporkiem błysnął.
„Chłopcy! bierzcie strzelby grzmiące
I toporki wasze lśniące,
Ufni w sile, ufni w mocy
Chodźcie za mną w cieniu nocy.

Do Kosmacz (18) wiedzie ta ścieszka,
Tam gdzie Stefan Dźwinko mieszka.
Tam na skale, tam nad wodą
Mieszka Dźwinko z żoną młodą.
Miejcie baczność, o Huculi,
Waszéj zwierzam życie kuli,
Waszéj sile, waszéj broni.
Stańcie wkoło na ustroni;
Ja pod oknem przy téj ścienie
Cichym głosem zwabię Ksenię.“

„Ksenio piękna i wesoła,
Wyjdź z twéj chaty, Dobosz woła;
Wychodź prędzéj, noc ucieka,
Dobosz tu na ciebie czeka.
Czyś nie sama? czyś usnęła,
Żeś tak mocno drzwi zamknęła?“

„Ja tu sama, ja cię słyszę.
Czegoś nocną przerwał ciszę?

Czegoś przyszedł pokryjomu?
Idź, Doboszu, idź do domu;
Do kochania tyś za młody,
Wracaj nazad do twéj trzody.
Wiele Prutem wód upłynie,
Nim ty wzrośniesz w połoninie.
Graj na trąbie, splataj kwiaty,
Ty nie wejdziesz do méj chaty;
Drzwi z cisiny, mocne zamki,
A u drzwi żelazne klamki.“

Ale Dobosz silną dłonią
W drzwi uderzył. Okna dzwonią;
Drzwi nie rozbił. W dłonie świsnął,
Topor za toporkiem błysnął.
„Niech gorąco kule lecą,
Niech toporki tu zaświecą,
Niech żelazne zamki pękną,
Niechaj drzwi cisowe jękną.“

Lecz ktoż się tam zdradnie skrada
I ze strzelbą na dach siada?
Stefan Dźwinko długo mierzył,
Aby prosto w pierś uderzył,
I Doboszu, w twoim łonie
Poświęcona kula (19) tonie.
Tyś stał wsparty na siekierce,
Kula prosto trafia w serce.
Piękny Dobosz już się chwieje,
Oczy gasną, twarz blednieje;
Gasną osłabione oczy,
A strumieniem krew się toczy.
Dziki rzuca wzrok do koła,
Na swych wiernych chłopców woła.
„O wy wierni mi Huculi,
Na ten topor i na kulę,
Na tę kulę, co w mém łonie
Ostrym śmierci ogniem płonie,
Przysięgnijcie mścić śmierć moję!
A mnie nieście w połoninę,
Tam na alpie niechaj ginę.

Na toporki bierzcie ciało,
Nieście szybko, nieście śmiało,
Gdzie się jodeł las zieleni,
Gdzie się zimne źródło pieni;
Idźcie ścieszką, tu przez skały,
Którą Dobosz chodził śmiały.
W połoninie jest murawa,
Rosą wonną lśni się trawa;
Tam jest jawór, w jego cieni
Niech się grób mój zazieleni."

* * *

Roman.

Powieść huculska.

Na wysokiéj połoninie
Roman leży, krew z ran płynie,
I z głębokiéj studni wody
Chce się napić dla ochłody.
Z łzami bratnie dłonie ściska,
Bo sam czuje, że śmierć blizka.
„Hej, Stefanku, zejdź w dolinę,
Pozdrów tkliwie mą rodzinę.
Tam nad Prutem nasza chatka;
U drzwi stuknij, wyjdzie matka.
Ty jéj powiedz, niech nie zwleka,
Bo śmierć długo nie poczeka;

Syn jéj kona w ciemnym lesie,
Niech mu wody dzban przyniesie.
A wy do mnie, towarzysze,
Niech raz jeszcze pieśń usłyszę,
Pieśń huculską, pieśń karpacką.
Lecz zanućcie mi ją chwacko,
Jak to niegdyś, gdy my społem
Roztrącali chmury czołem."

Śpiew.

Wstrzymaj, orle, bujny lot,
Bo cię woła Hucuł brat;
Już w Karpatach runął grzmot,
Lećmy razem, tam nasz świat.

Grzmotem w piersiach naszych śpiew,
Kiedy wita błogi maj;
Ogniem w żyłach pryska krew,
Gdy się liściem ścieni gaj.

Hej, kto nie zna naszych gór,
Tęskny z życiem wiedzie bój.
Tam w dolinie pełno chmur,
Tu na górach światła zdrój.

Przyszła matka, ale wody
Dzban nie niesie dla ochłody.
„Mój Romanie nieszczęśliwy,
Powiedz, gdzie twój towar siwy (20),
Gdzieś zakopał twoje złoto?“
— „Matko, ty się pytasz o to!
Ty nie pytasz się Romana,
Gdzie go krwawa boli rana?
Śmierć z ciałem i skarb zagrzebie,
Moje złoto nie dla ciebie!
Chatka twoja tam w dolinie,
Grób Romana w połoninie.“

„Hej Stefanku, wróć w dolinę,
Idź do ojca, mów, że ginę,

Niech z głębokiéj studni wody
Dzban przyniesie dla ochłody.
A wy bliżéj towarzysze!
Niechaj jeszcze raz usłyszę
Pieśń, coś my niegdyś śpiewali
Śród szumiących Prutu fali.“

Śpiew.

Hej, odbijmy łódź od brzegu!
Prucie, nasza górska rzeko,
Wód jaskółce pomóż w biegu;
Tam w dolinie, niedaleko,
Tam gdzie chatka, tam przy skale,
Tam nas nieście Prutu fale!

Prut się pieni, łódź umyka,
Ledwie wody się dotyka.
Jak koń jeźdźca gdy poczuje,
Fala wioseł moc poczuła,
I już łódki nie wstrzymuje,
Bo Prut poznał łódź Hucuła.

Piękne wody po dolinie,
Piękne zdroje w połoninie;
Lecz nad inne miléj dzwonią
Prutu fale górską pieśnią,
Gdy nad niemi chmury gonią,
Gdy je w brzegach skały ścieśnią.

Przyszedł ojciec, ale wody
Dzban nie niesie dla ochłody.
„Mój Romanie nieszczęśliwy,
Powiedz, gdzie twój towar siwy?
Gdzieś zagrzebał twoje złoto?“
— „Ojcze, ty mnie pytasz o to?
Ty nie pytasz się Romana,
Gdzie go krwawa boli rana?
Śmierć z ciałem i skarb zagrzebie,
Moje złoto nie dla ciebie!
Twoja chata tam w dolinie,
Grób Romana w połoninie.“

„Hej Stefanku, ten raz jeszcze
Po téj krętéj wązkiéj ścieszce
Zejdź w dolinę. Tam gdzie kładka,
Tam wysepka, na niéj chatka
W cieniu jodeł obok młyna,
A w téj chatce jest dziewczyna.
Ty jéj powiedz, niech nie czeka.
Bo śmierć bliska, czas ucieka,
Roman kona w ciemnym lesie,
Niech mu wody dzban przyniesie.
A wy do mnie, towarzysze,
Niech wasz głos jeszcze usłyszę;
Zanućcie mi pieśń rozstania,
Pieśń nadziei, zmartwychwstania!“

Śpiew.

Na góry, na góry,
Tam bliżéj do nieba;
Tam słońce, tu chmury,
Nam słońca potrzeba.

Bywaj zdrów, Romanie,
Twa pamięć nie zginie
Tu z nami zostanie
I w wieki popłynie.

Gdy w późnéj dzwon dobie
Na „Zdrowaś“ zadzwoni,
Tu Hucuł przy grobie
Łzę tobie uroni.

Przyszła Afia. Jak wietrzyk majowy
Chód jéj był lekki, a dźwięk słodkiéj mowy
Jak śpiew skowronka. Błękitne jéj oko
W rany Romana zajrzało głęboko;
Ulgę przyniosło, bo łza w oku była,
A ta i duszy rany zagoiła.
Mówić nie mogła; przyklękła, płakała,
Do ust schorzałych dzban wody podała.
Roman się napił i w górę wzniósł czoło,
Ścisnął dziewczynę i w niebo wesoło

Wzrok, serce wlepił, pojednał się z losem
I do Afii słabym wyrzekł głosem:
„Dziewczę, bądź zdrowa! „Skowronek zadzwonił
I blask się rozlał na góry i błonie;
Wiatr chmury spędził i błękit odsłonił.
„I ja z chmurami w inny świat pogonię.
Dziewczę, bądź zdrowa! Drży łza w twojém oku,
Ach, jakże smutno będzie mi bez ciebie!
Gdybym cię zawsze mógł mieć przy mym boku!
Tyś moją duszą, gwiazdą na mém niebie!
Ja biedny Hucuł już śmierć w sobie noszę;
Ścigany, błędny, śród skał umrzeć muszę.
W zamian za życia miłosne rozkosze
Tobie w pamiątkę oddaję mą duszę."
I Hucuł dziewczę do serca przycisnął,
Odwrócił głowę, może łzę uronił,
Smutnych Hucułów dłoń po dłoni ścisnął,
Westchnął raz jeszcze, w inny świat pogonił.

* *
*

SONETY (21).

Wstęp.

Jakże mroźno i zimno! — Wiatr już śniegiem pruszy.—
Hola służalce! — Ach, nikt mnie nie słucha!
Otwórzcie wrota, ciągnie zawierucha. —
No, cóż tam? — Prędzéj! Nikt się z was nie ruszy?

Niech ciepły ogień me szaty obsuszy!
Zamknijcie okna, wiatr szparami dmucha.
Niechaj z kominka jasny płomień bucha,
Krew zamrożoną w mych żyłach poruszy!

16*

Która godzina? — Biło wpół do trzeciéj. —
Jakiż czas gnuśny! — Czy to śnieg się bieli? —
Mrok padł. — Niech lampę który z was zaświeci! —

Chłopcze, daj lutnią! Ta nas rozweseli,
Ta smutne chwile gdy z nami podzieli,
Z śpiewem i dźwiękiem prędzéj czas przeleci.

* * *

Ranek.

And if I laugh it is not to weep!
Byron.

Ledwie gasnący zdmuchnąłem kaganek,
A już na wschodzie blady dzień zaświtał.
Rzuciwszy łoże wybiegłem na ganek,
Bym pierwszy promyk wiosenny powitał.

Ponury i dżdżysty owionął mnie ranek,
Świat w mgłach zakryty mą duszę zasmucił;
Szczyty gór ciemny chmur otoczył wianek,
A wtém skowronek w obłokach zanucił.

Ty śpiewasz, a ja mam zamykać tak skrycie
I żal i tęsknotę, co me serce ściska?
I dla mnie dopiero zaświtało życie,

Odkąd w twe oczy zajrzałem tak zbliska! —
Ja z wami się bawię, ja z wami się śmieję;
Pozwólcie, w tych śpiewkach niechaj łzę wyleję.

Życie.

Ah, ici bas la douleur à la douleur s'enchaine,
Le jour succede au jour et la peine à la peine.
Lamartine.

I czemu płakać, gdy szczęście odpływa?
Łza w szybkim pędzie wstrzymać go nie zdoła.
Rzuć tylko okiem zroszoném dokoła,
Szczęście na bezdnie grobu spoczywa.

Czas na swych skrzydłach i młodość porywa;
Połysk łudzący szczęścia się rozpłynął,
A gdy się groźno świat oczom rozwinął,
Najtkliwsze serca potargał ogniwa.

Wszak życie nasze ma szczęścia niewiele
I łzy przelane głuche roszą głazy;
Marą są szczęścia łudzące obrazy.

Lecz ból i smutek dostawszy w udziele
Czemuż nad jedném łzy ronić cierpieniem,
Gdy całe życie jest tylko westchnieniem?

Ucieczka.

. . . . . The sky is clouded Gaspard
And the rex 'd ocean sleepsa troubled sleep
Beneath a lurid gleam of parting sunschine!

Albion a Poem.

Wróćmy do domu! Patrz, niebo się chmurzy;
Słyszysz już grzmoty głuche zdaleka?
A łyska trwożna od brzegów ucieka,
I bliskiéj burzy przyjście nam wróży.

Uchodźmy szybko, póki cisza służy,
Niech lekki wiater wzdyma nasze żagle,
Bo kiedy burza powstanie nagle,
Pewnie w jezioro naszę łódź zanurzy.

Lecz bystrém okiem spojrzyj w te oddale;
Ktoś na nadbrzeżnéj spoczywa tam skale.
Pewnie to matka, matka ukochana.

Sama już w późnéj nocy na nas czeka,
Patrzy, czy łódka przed burzą ucieka,
Łzami troskliwéj miłości zalana.

Burza.

But list! a low and moaning sound
At distance heard, like a spirit 's song,
And now it reigns abore, around,
As if it call 'd the ship a long!
Wilson.

Czarny obłok niebo kryje.
Jak gorąco, głucho wszędzie!
Burza w strasznym leci pędzie,
Wiatr zpod chmury tylko wyje.

Grom za gromem zdała bije.
Tam, gdzie drzewa stoją w rzędzie,
Burza w strasznym leci pędzie,
Fala o nadbrzeże bije.

Straszny grzmot jéj przyjście głosi;
Wód obłoki zdroje leją,
Twarde opoki się chwieją.

Ziemia zadrżała w swéj osi.
Czyż tylko człowiek jeden w niepokoju?
Nie, i natura sama z sobą w boju.

* * *

Grób.

All' ombra de' cipressi e dentro l' urne
Confortate di pianto, o forse il sonno
Della morte men duro? . . . . . .

Ugo Foscolo.

Po ciężkich burzach głos nas śmierci wzywa.
Wszak tylko bólem życia przeciąg cały;
Łudzącym blaskiem są serca zapały,
Nad grobem światła strumień się rozlewa.

Tu świat samotnéj ciszy nie przerywa,
Gdzie się cyprysów gałązki splątały;
Choć wicher pędzi o nadbrzeżne skały
Falę, ta jęcząc spokojnie odpływa.

Dusza się wzbiwszy w niebieskie przetworze
Rozkosz nieznanych objąć nie może.
Choć tu się leją łzy smutku obficie,

Żadna już zgasłe nie powróci życie;
Ale gdy miłość urnę śmierci rosi,
Kwiat się boleści nad grobem podnosi.

* * *

Noc.

There is a dangerous silence in that hour
A stillness, which leares room for the full soul
To open all it self . . . .

Byron.

Kiedy ponure szaty swe rozwinie
Noc, świat w głębokiéj spoczywa żałobie;
Szmer dniowy ustał, a jak w głuchym grobie
Cisza po całéj rozlana równinie.

Ale ta gwiazda, co na niebie płynie,
Słodkie uczucia w słodkiéj budzi dobie;
Chwile ostatnie dnia poświęcam tobie.
Myśl w przestwór nieba wznosi się i ginie.

Choć ręka czasu węższe kreśli koła,
Nad grobem chyląc pochodnie gasnące,
Póki mi wschodzi i zachodzi słońce,

Nic myśl odwrócić od ciebie nie zdoła.
Odkąd w mém sercu twój płomień się pali,
Myśl ciebie szukając, gubi się w oddali.

Współczucie.

The torrent was loud to my car
But I heard a tuneful voice.
Battle of Lora. Ossian.

Gdy łza z łzą się łączy, z westchnieniem westchnienie,
Serce w rozkoszach miłości umiera.
Choć grzmot straszliwy powietrze przedziera,
Ja wonne tylko zewsząd czuję tchnienie.

Niech łez obfite leją się strumienie;
Gdy ukochana ręka łzy ociera,
Świat z oczów znika, niebo się otwiera
I źródłem szczęścia staje się cierpienie.

Niech fala jęknie, niech burza zawyje,
Z sklepienia nieba grom za gromem bije;
Wpośród rozhukanych żywiołów boju,

Duch tobą zajęty rozmyśla w pokoju,
Jak w póżnéj jesieni, w wieczornéj ciszy,
Dźwięki miłosne wkoło siebie słyszy.

Sen.

At the mid hour of night when stars are weeping
I fly to the lone vale we lor 'd! . . . .

T. Moore.

Już się zamknęły błękitne powoje;
Na łonie pokoju ty zaśnij, aniele,
Niech noc kwiatami twe łoże wyściele
I wkoło ciebie spuści szaty swoje.

Niech snem miłości poi duszę twoję;
Lecz ja tych słodkich uczuć nie podzielę.
Niestety, szczęścia mając tak niewiele,
Myśli tobą zajętéj nigdy nie rozdwoję.

Dokąd w głębokim nie złożą mnie grobie,
Ja tylko w tobie i przez ciebie żyję;
Dokąd to serce, ach, tak tkliwie bije,

Wszystkie me myśli obracam ku tobie.
Zamknij twe oko, zaśnij jako w niebie,
Zaśnij spokojnie, ja czuwam za ciebie

Pielgrzym.

Weth wayworn feet a pilgrim woe legone
Life 's upward read — I jurney 'd many a day
And hymning many a sad yet soothing lay
Beguil 'd my wandering with the charms of song!
Southey.

Dziecko, nim zimna burza go obwieje,
Wesoło życia pielgrzymkę poczyna,
Pomiędzy kwiaty króci się drożyna,
Z każdego pączka natura się śmieje.

Los go nie wtrąca w nieszczęścia koleje,
Zdrój czystych rozkosz sączyć się poczyna,
Kwiatami cała zasłana dolina
Szczęścia przyszłego wzbudza w nim nadzieje.

Jemu tak pięknie wiosna się zieleni,
Czas jego kwiatów jeszcze nie porywa
I w łzę rozpaczy łzy uciech nie mieni.

Co żal lub smutek, on tego nie czuje;
Te słodkie soki jeszcze świat nie truje,
Które niewinność w kielich życia wlewa.

* * *

Lonely my heart and rugged was my way
Yet often pluck 'd I as I past along
The wild and simple flower of poesy.
Southey.

Lecz jakże próżne są wszystkie nadzieje!
A czas okrutny nie długo nam sprzyja,
I wiosna życia i szczęście nas mija,
Gdy ostra burza słabą łódź zachwieje.

Słońce gorące w obłoki się wzbija,
Tknięty płomieniem kwiat smutnie więdnieje;
Młodzieniec stoi, patrzy, drży, truchleje,
Gdy tak odmiennie świat mu się rozwija.

Ostatnia nadzieja siły jego krzepi,
Choć łzy przelewa, choć jęczy głęboko,
W przyszłość niepewną błędne rzuca oko.

Ach! może kiedyś będzie sercu lepiéj,
Może się rozpacz w czułą radość zmieni,
Może się życia młodość zazieleni.

* * *

Ah that thus my lot
Mi ght be with pcace and solitude assign 'd
Where I might from some little quiet lot
Sigh for the crimes and miseries of mankind.
Southey.

Lecz próżna nadzieja i martwe życzenia;
Ach! życia wiosna nigdy nie powróci.
Czas szybki własnéj fali nie odwróci,
Lecz inny promień rozrzedzi te cienia.

Gdy pierwsze życia spełzną omamienia,
Burza spokojne zwierciadło zakłóci,
Młodzieniec z wiru kiedy się ocuci,
Postać się świata dla niego odmienia.

Blask, co go w życia młodości otoczył,
Przed okiem męża blednieje i znika,
W prawdziwém świetle kiedy świat zoczył.

Młodsze uczucia w sercu swém zamyka
— — — — — — — — —
— — — — — — — — —

Gdzie bluszcz po zimnym grobie się wije,
Starzec nad grobem duma już zgrzybiały,
W myśli przerzuca przeciąg życia cały,
W przeszłości tylko i czuje i żyje.

Lecz zegar śmierci niebawem wybije,
Geniusz się smutno unosi nad skały;
Temu za życia świat jeszcze za mały,
Co go po śmierci ziemi garść pokryje.

Życie jak płomyk, co się w chmurach mignie,
My nie widzimy, jak czas szybko leci
I krew pomału w naszych żyłach stygnie.

Słońce witamy dzisiaj jeszcze dzieci;
Lecz gdy się jutro z oceanu dźwignie,
Ach, może zimny grób tylko oświeci.

* * *

Łzy.

Les premieres joies d' un coeur fait pour aimer,
N' ont pas d' autre langage que les larmes.
Salvandy.

Ze łzami człowiek światło życia wita,
Łzy mu przez całe towarzyszą życie,
Łzy okazują słabe serca bicie,
Gdy pierwsza zorza dziecięciu zaświta.

Czy burzą zgięty kwiat szczęścia okwita,
Czy wiosna nowe wydaje obficie,
Czyli nas stawił los na szczęścia szczycie,
Czyli w nieszczęścia koleje nas chwyta,

Ciągle łzy ronić jest losem człowieka.
Łzy tylko ulgę przynoszą w strapieniu,
Łzami zroszony żal od nas ucieka.

One czuć dają rozkosze w westchnieniu,
I choć już oko łzy sączyć przestało,
Łzy martwe jeszcze skrapiają ciało.

Jesień.

. . . je meprisais la philosophie de ne pouroir pas,
Meme autant sur l' ame q' une suite des objects inanimes.

Rousseau.

Jesień ponura! wiatr zimny powiewa,
Mgły przeźroczyste nad górami wiszą,
Giętkie gałązki brzozy się kołyszą,
Z których liść zżółkły już burza porywa.

Szmer tylko fali tę ciszę przerywa,
Która się łamie o skaliste ściany.
Lecz gdy w noc późną jękną wód bałwany
Echo tęsknemi głosy się odzywa.

Słodka naturo! kiedy ty się śmiejesz,
Stronię od ciebie, łza w oku się sączy,
Lecz kiedy smutku zasłonę przywdziejesz,

Ach, wtenczas jedno ogniwo nas łączy;
Wtenczas na twojém czując ulgę łonie,
Dusza radość uczuła i w radości tonie!

* * *

Oko.

. . . . . her eye in hearen
Would through the airy region stream so bright
That birds would sing and thing it were not night!
Romeo and Julia.

Już kwiat w swój kielich zamknął krople soku,
Co noc na całe zlała przyrodzenie,
Jasne się światła rozlały strumienie,
Gwiazdy zadrżały w bladawym obłoku.

Lecz mnie przy twojém tu czuwając boku
Ponure nocy ogarnęły cienie,
I gwiazd skry złote, księżyca promienie
W twojém się dla mnie zamknęły oku.

Ach, czemuż świat się nie pokrył powłoką!
Zblednij księżycu i wy nocne świece,
Już jéj niebieskie nie lśnią się źrenice.

Źródłem światła dla mnie twoje oko;
Tyś jednėm spojrzeniem w moję duszę wlała
Ten płomień czysty, którym teraz pała.

To ona.

E poi ch' amor di me vi fece accorta
Fur i biondi capelli allor relati,
E l' amoroso sguardo in se racolto!

Metastasio.

Czy słońce z oceanu dźwignęło się łona?
Jakiegoż światła jaskrawe promienie
Ponuréj nocy przedarłszy cienie
Ujrzała dusza w myślach zatopiona?

Lampa na nieba błękicie zwieszona
Nie samaż słyszy miłości westchnienie?
W powietrzu słodkie rozeszło się brzmienie,
Echa zadrżały: To ona! to ona!

18

Gdy kwiaty zwiędłe przyciska do łona
I łza z uśmiechem miesza się w jéj oku,
Cała natura zabrzmiała. To ona!

Gdzie tylko stanie, zdrój życia wytryska,
Gdzie okiem rzuci, jasny promień błyska,
Zbliża się do mnie, jak gwiazda w obłoku.

Głos rozpaczy.

Sagt, verborg'ne Mächte, warum wüten
So viel Stürme nieder unsre Blüten?
Warum fühlt der Mensch nur seinen Tod?

Tiedge.

Wiatr się wzmaga, burza bliska.
Wpośród ciemnéj morza toni
Któż od zguby nas obroni,
Która z każdéj fali tryska?

Coraz głośniéj grzmi i błyska,
Wściekły wiatr za nami goni.
Któż nas wyrwie z tego dłoni,
Który grom za gromem ciska?

18*

Z łzami błagamy, o Panie,
Ratuj nas od wód topieli!
Ach, on naszych klęsk nie dzieli,

On nas wtrąca w wód otchłanie;
Próżne jęki, próżne żale,
Zimnym grobem dla nas fale.

Odpowiedź opatrzności.

Ob ein Gott sei? ob er einst erfülle,
Was die Sehnsucht weinend sich verspricht?
. . . .
Hoffen soll der Mensch! er frage nicht.
Tiedgo.

Stój, nieodmienne są nieba wyroki,
Co cię wtrąciły w przeznaczenia koło.
A ty przed niemi korne schylaj czoło,
Twe słabe oko nie przejrzy w obłoki.

Choć wściekła burza rwie twarde opoki,
A wir cię zdradny pochwyci głęboko,
Czuwa nad tobą opatrzności oko;
To i ocean uśmierzy głęboki.

Ten, co swém słowem stworzył świat cały,
Olbrzymią ręką postawił te skały,
Ten z fal objęcia wydrzeć cię wydoła.

Choć głos rozpaczy o pomoc nie woła,
W nim tylko całą pokładaj nadzieję,
On rosę niebieską na ciebie wyleje.

Miłość.

. . . . . . Amor puo far perfetti
Gli animi qui, ma piu perfetti in cielo.

M. A. Buonarotti.

Jeżeli tylko snem jest nasze życie,
Cóż jest miłości słodkie zachwycenie?
Cóż łzy rozkoszy? cóż każde westchnienie,
Co tkliwsze serca okazuje bicie?

Choć strumień nieszczęść leje się obficie,
I szczęście nie jest marne urojenie,
Kiedy niezgasłe miłości płomienie
W głąb czułéj duszy wcisnęły się skrycie.

Gdy na jéj snieżném spoczywam łonie,
Gdy w jéj objęciu łzę smutku uronię,
Obraz rozkoszy nigdy nie zatonie.

Jako snu słodkiém marzeniem ujęty,
Choć los w nieszczęścia wtrąci mnie odmęty,
Ten płomień w duszy nie zagaśnie święty.

Żeglarz.

Des Seufzens Kraft vergeht nicht.

Young.

Gdy połysk szczęścia dla mnie się rozpłynął,
Gdy oko łzami tylko słońce wita,
A kwiat ostatni młodości okwita,
Czemuż do portu jeszczem nie zawinął?

Kiedym od brzegów ojczystych odpłynął,
Szczęście mi błysło w wód czystych głębinie;
Ale jak fala falą pchnięta ginie,
Tak i wiek młody na wieki zaginął.

Księżyc w wód srebrnéj kąpie się topieli,
Gwiazdy blask leją na nurty rozchwiane,
Światło na morza przestrzeni rozlane.

Lecz moja dusza światłości nie dzieli,
A gdy jęk fali przerywa tę ciszę,
Wspomnieniem przeszłości smutnie się kołyszę.

* * *

Dobranoc.

Good night, good night, as sweet repose and rest
Come to thy heart, as that within my breast.

Shakspeare.

Czarna chmura chmurę goni,
Na zachodzie grzmi i błyska,
Blada lampka w chmurach błyska,
Lutnia na dobranoc dzwoni.

Niechaj puhar z mojéj dłoni
Każdy z was do ust przyciska;
Noc już bliska, noc już bliska,
Lutnia na dobranoc dzwoni.

Z wami słodycz snów podzielę;
Zdrój się marzeń pełny toczy,
Zamknijmy znużone oczy.

Bądźcie zdrowi, przyjaciele!
Lampa zgasła, noc nas woła,
Dobranoc wszystkim dokoła!

* * *

Wizyta.

Że wzbudzę współczucie, samem siebie łudził;
Wchodzę do . . . . . on leży i chrapie,
O nieba! z mą książką usnął na kanapie!
Jam drzwiami trzasnął, i on się przebudził.

Nieszczęsny poeto! jakżeś mnie wynudził!
Czym cię już skończył? sam siebie zapytał.
Gniew mnie ogarnął. A czemuś mnie czytał,
Krzyknąłem, czemuś do końca się trudził?

Chcę krytykę napisać! — Co słyszę? niestety,
Ostatnia dla mnie wybiła godzina!
Czémżem cię obraził? cóż jest moja wina?

Nudzisz! nie warteś imienia poety.
Więc na co masz się nadaremnie trudzić?
Lecz jeżli chcesz koniecznie, racz się wprzód obudzić.

* * *

287

VIII.

UŁAMKI.

Bielany.

. . . .

Mieszkańców pustyni samotne siedlisko,
To są Bielany. Minęły już wieki,
Gdy śmierć Romualda zawarła powieki;
Minęły wieki, jak święte popioły
Burzliwe w puszczy rozniosły żywioły.
Lecz ten duch wzniosły nie opuścił ziemię;
Za wzór późniejsze obrało go plemię
Uczniów, co w sercu kryjąc klejnot drogi
Radośnie rodzinne porzucali progi.
I dziś nie jeden jeszcze z świata znika
I życie w puszczy wiedzie pustelnika.
Burzą zdradliwą po morzu miotany
Chcesz port pewny znaleść, uchodź na Bielany.
Dzień schodzi za dniem w jednostajném kole,
Łzy nie wyciska, nie rozjątrza bóle;

Echo o jednéj trącone godzinie
Przerywa ciszę i po skałach ginie.
Tęczą nadziei niebieskie sklepienie.
Tam nieraz serca wznosi się westchnienie;
Oko na jasnym spoczywa błękicie,
Gdzie wiara lepsze zapowiada życie.
I dla mnie wkrótce jęknie dzwon grobowy.
Panie, ty rozkaż, jam zawsze gotowy.

. . . .

Serce me wznoszę do ciebie, o Panie!
Jak ty rozrządzisz, tak niechaj się stanie.
Ty wiesz najlepiéj, czego mi potrzeba;
Lecz niechaj serce w miłości ku tobie
Nigdy nie stygnie, a cokolwiek zrobię,
Niechaj cię myśl ma widzi ciągle w niebie.
Kto w tobie nadzieję pokłada jedynie,
Ten tu nie zbłądzi, wiecznie nie zaginie;
Choć potok życia burzliwie odpłynie,
Z nowém się życiem nowy byt rozwinie.

* *
*

Blade ognie gwiazda roni,
Północ już wybiła z wieży.
Srebrném brzmieniem dzwonek dzwoni,
Woła braci do pacierzy.
Tam, gdzie domek pustelnika
Gęsty drzew otacza wianek,
Blady mignął się kaganek;
Wśród drzew cieni świeci, znika,
Tu zabłysnął, tam się kryje,
Jak w błękicie skra się wije.
Bo gdy zabrzmiał dzwon w kościele,
Każdy ojciec rzuca celę,
A różaniec wziąwszy w dłonie,
W świętém postępuje gronie.
Księżyc zpod ciemnéj wysunął się chmury,
Nad wieże kościoła roztoczył swe koło;
Już pustelnicy w święte wchodzą mury,
Przed znakiem krzyża uchylają czoło.
Bramy otwarte, a na drzwiach świątyni
Widać dwóch starców, mieszkańców pustyni;

Księgę trzymają ustaw Romualda.
Daléj przy bramie stoją dwaj rycerze;
Z głazu wykute kamienne pancerze
Kryją te piersi, gdzie serce nie bije.
Kamień się został, popiół ziemia kryje,
A księżyc w lśniącéj nie łamie się stali.
Lampa w przysionku kościoła się pali;
Z spuszczoném okiem,
Powolnym krokiem,
Szeregiem długim,
Jeden za drugim,
Po zimnym marmurze
Wstępują daléj,
A u sklepienia
Lampa się pali.
Gdzie obraz Pana,
Tam gną kolana.
I już dokoła zasiedli w chórze,
Modły cichym szemrząc głosem.
Lampa rzuca blask ukosem,

Płomyk się wije między nocne cienia;
Posępna cisza. Gorące westchnienia,
. . . . i głosy żałoby,
Już się o zimne odbiły sklepienia,
Ponad milczące unosząc się groby.
Modlą się, Boga wzywają pomocy,
A łzy miłości z głębi serca płyną;
Wsiąkną w marmur, w niebie nie zaginą.
Anioł je zliczył, co zliczył westchnienia;
Miłości łzy w kielich spłynęły zbawienia (22).

Dzwonek zadzwonił, o ściany z marmuru
Potrącił echa, jęcząc przerwał ciszę.
Już ciche modły dochodzą mnie z chóru.
Tu gdzie się w myślach dusza kołysze,
Z głosami ojców łączę me pacierze.
Wszak i ja kocham, ja żyję, ja wierzę.
Wszak i ja żyję. Cóż życie bez wiary?
Któż tę zagadkę rozwiązać jest w stanie?
Życie, noc ciemna; grób, wieczne mieszkanie;

Smierć, moc nieznana, wszystko w nicość zmienia.
Więc ten na próżno niósł cnocie ofiary?
A głos, co z głębi wydobył się duszy,
Tych zimnych nieba sklepień nie wzruszy?
Cnota nagrody, zbrodnia nie masz kary?
Stój! Nad przepaścią niech się duch nie błąka;
Te, co niewiara zastawia ci sidła,
Przerwij, jak tkankę słabego pająka,
Rozpędź te zgubne, zwodnicze mamidła.
Wszak się wysmukłe w górę pną topole,
A bluszcz zimnego chwyciwszy się łona,
Zwiędłe po skałach wyciąga ramiona.
Masz myśl jedynie błąkać się po dole?
Niechaj się wzbija polotem sokoła,
Niechaj po ziemi już dłużéj nie błądzi;
Gdzie się myśl chwieje, tam niech duch rozsądzi.
Od kolebki do grobu długa, ciemna droga,
Czegóż dostrzedz łzawa zdoła żrenica?
Chcesz myśl natężyć? Ach, myśl tak uboga,
I nie odkryta życia tajemnica.

Za prawdą gonisz, chcesz ją ująć w dłonie?
Zaćmi cię jasna prawdy błyskawica,
Ty do niéj drżące wyciągasz ramiona,
Ty ją do twego chcesz przycisnąć łona;
Ale to widmo w własnym ogniu gaśnie,
Jak kropla wody w oceanie tonie,
Jak się w powietrzu gubią kwiatów wonie.
Lecz czemuż szukać tu ulgi w boleści?
Wszakże jest niebo, wszakże Bóg na niebie,
Wszakże jest wieczność, dusza wiecznie żyje.
Niech się w marzeniach wątła myśl nie wije,
Bo tutaj myślom Bóg stawił granice;
Niechaj tu słabe zamkną się źrenice;
Zasłona wiary wieczne prawdy kryje (23).

1 listopada 1828.

Z elegii na skon Ypsylantego (24).

Mieczem zemsty uzbrojona
Wolność szukając schronienia,
Od brzegów Ebru pędzona
Obrała Grecyi cienia.
Płomień błysnął, płomień święty,
O Tajgetu śniężne szczyty
Głos wolności brzmi odbity.
Ostre zewsząd zbroje błyszczą,
Już się mieczów lśnią tysiące,
Przed ich blaskiem gaśnie słońce;
Kule jęczą, strzały świszczą,
A wolności sztandar krwawy
Wskazuje drogę do sławy!

Wśród szczęku broni lutnie zabrzmiały,
Dawne w Helenach wzbudzając zapały.
Rigas! twe pienia z głębi duszy płyną!
Tyś padł nieszczęsny, padł ofiarą zdrady,
Lecz twoje hymny wiecznie nie zaginą,
Wolność je chronić będzie od zagłady!

* * *

Ciężkie kajdany niewoli nie brzęczą,
Z niebios na ziemię zeszła wolność święta;
Pod jarzmem tyrana Heleny nie jęczą,
Ręką zwycięzką potargali pęta.
Słyszysz te krzyki, radosne odgłosy?
Grecyto, Grecy mściwe niosą ciosy!

Długo pod cieniem laurów ojczystych
Życie spędzali w niewoli,
Długo po falach płynąc przeźroczystych
Nucili piosnkę niedoli.

Łzą krwawą własną zraszali ziemię
Gdzie niegdyś możne wzrosło ojców plemię.

* * *

Przez góry, lasy i bory
Lecą do boju waleczni rycerze;
Słońce się łamie o czarne puklerze,
Pod dzielnym jeźdźcem rży rumak skory.
Lśnią się w powietrzu oręże,
A na sztandarze widać trzy kolory,
Który jak żagiel nad morzem rozpięty,
Wskazuje mężnym znak zbawienia święty.
„Hoc signo vinces. Tym znakiem zwyciężę.“

Z krzyżem na czapkach i w czarnym ubiorze
Młódź grecka wita wschodzące im zorze.
Lecz któż ten jeździec na czele orszaku,
Co się na karym unosi rumaku,

Oręż błyszczący silną dłonią ściska,
Ogień zwycięzki z czarnych ócz mu błyska.
Nim na ojczyste on przypłynął brzegi
Znały go niegdyś rosyjskie szeregi.
Wśród szczęku broni wzrastał umysł męzki,
Błysnął pod Dreznem orężem zwycięzkim.

* * *

Wiedniu! w twych murach powstał święty związek,
Co wieniec z laurowych splatając gałązek,
Szczątki heleńskiéj sławy chciał ocalić,
Skrę w mężnych sercach gasnącą rozpalić,
Gęstą zerwawszy zasłonę ciemnoty,
Dawny Helenom przywrócić wiek złoty
Za godło sowę obrawszy i węża.
Myśl wzniosła, godna tak wielkiego męża,
Zgasłe po świecie rozniosła nadzieje.
Zbladłe Helenom słońce już jaśnieje!

* * *

O jakże zdradne są losów koleje,
O jak niepewne, o jak czcze nadzieje!
Ciemna zasłona kryje wyrok Boga.
Uderzył piorun, wyje burza sroga,
Kwiat greckiéj młodzi przed czasem opada,
Na polu chwały śmierć usiadła blada;
Wśród strasznych jęków i głosów żałoby
Zimne Helenom wykopała groby.
Chorągiew czystą krwią Greków oblana
Chwieje się, pada przed mieczem tyrana.
Żołnierz znak krzyża przyciska do łona,
Wznosi wzrok w górę i ze łzami kona,
Krew się Helenów tu strumieniem leje.
Dragoszan! łudzące zniszczyłaś nadzieje!
Zimna natura krwawo zapłakała,
Gdy śmierć twe pola trupami zasłała.
O ziemi święta nieszczęsnych pamiątek,
Tutaj klęsk Greków, tutaj, był początek!
Przywdziéj żałobę, przywdziéj, Grecyjo cała,

Niech czarna flaga wskaże żal głęboki,
Pod znakiem krzyża płyną łez potoki;
Zgasła twa gwiazda, ach, zgasła na wieki!
Zginął od brzegów ojczystych daleki
Ten, co na czele mieszkańców Mołdawy
Wskazał Helenom pierwszy drogę sławy;
Co oręż zemsty w mężnéj podniósł dłoni,
Wzywał Helenów wpośród szczęku broni,
Aby zelżywe skruszywszy kajdany,
Ziemi ojczystéj zagoili rany;
A otoczony walecznym orszakiem,
Zwyciężał świetnie pod zbawienia znakiem.
Padł Ypsylanty nie na polu chwały!
Gdy jego słońce skryło się za skały,
Do ziemi ojczystéj wyciąga ramiona,
Żegna swych braci i ze łzami kona.
Laur nie okwiecił bohatera skroni,
W łzach i rozpaczy spędzał dnie w żałobie;
Cudzy go naród w zimnym złoży grobie,
Helas strętwiałéj nie ściśnie mu dłoni.

Przywdziéj żałobę, przywdziéj, Grecyjo cała,
Burza szczyt lauru twojego złamała.

* * *

Już na zachodzie krwawo zaszło słońce.
Gotyckie okna jaśnieją płomieniem,
A pod milczącém świątyni sklepieniem
Jaskrawych świateł błyszczą się tysiące,
Jak blade gwiazdy drżą w pochmurnéj nocy.
Licznie zebrani w przysionku kościoła
Kapłani korne nachylają czoła,
Stwórcy wiecznego błagając pomocy.
Grobowym głosem biją z dzwonnic dzwony;
U stóp ołtarza do pana nad pany
Już się podnoszą kadzideł bałwany,
Organy jękły posępnemi tony,
Martwe rycerza tu złożono zwłoki.
Lud zgromadzony k' ziemi schyla oczy,
Żal wszystkich serca ogarnął głęboki,
Po bladych licach łza się ciężka toczy.

Obrazie smutku, rozpaczy widoku!
Mężny obrońca ojczyzny nie żyje,
To wielkie serce już więcéj nie bije.
Płomień zdmuchnęła śmierć w błyszczącém oku,
Czarna zasłona te szczątki pokrywa,
Krzyż, znak zbawienia, trzyma na swém łonie,
A ten, co błysnął ku kraju obronie,
Przy jego boku wierny miecz spoczywa.

. . . . Z nachylonèm czołem
Grecy znak krzyża otoczyli kołem.
Na krzyżu wieniec grobowy zwieszony,
Łzami heleńskiéj dziewicy zroszony.
Przerywa ciszę głos ciężkiéj żałoby;
Echa jęknęły między głuche groby,
Panie, co rządzisz na ziemi i niebie!
Ty życia jasne rozpalasz pochodnie,
Ty tchem wszechmocnym gasisz je łagodnie.
Kornemi modły dziś błagamy ciebie,

Rycerza wiary przyjm do twojéj chwały.
O Boże wieczny, Boże nieskończony,
Tyś w naszych sercach obudził nadzieję.
Dzisiaj Helenów męstwo już się chwieje;
Od ciebie, Panie, czekamy obrony,
Przed tobą korne schylamy kolana!
Tyś w nasze dłonie miecz karzący wcisnął;
Gdy na sztandarze znak zbawienia błysnął,
Powiewał groźnie nad głową tyrana,
Tyś skruszył długiéj niewoli kajdany,
Pod znakiem krzyża tyś dawał zwycięstwo;
Tyś w naszych piersiach wzbudził przodków męstwo,
Helenów ciężkie tyś zagoił rany.
Panie, dziś twojéj błagamy pomocy,
Ty wskaż nam drogę wpośród ciemnéj nocy.
Niechaj z ponika wyschły zdrój wytryśnie,
Niechaj twa lampa na niebie zabłyśnie.

* * *

Pan swoich wiernych ratuje w potrzebie,
Pan miecz wolności trzyma w swojéj dłoni.
Waleczni Grecy, bierzcie się do broni,
Gwiazda nadziei już zeszła na niebie!

Skwarzawa 1go marca 1828.

307

IX.

PRZYPISKI.

Przypiski.

) Listy w duchu bożym do Przyjaciół. Kraków, 1850. Str. 120.

) Wzorem świątobliwych prababek naszych matka ś. p. ks. Antoniewicza widząc zapewniony los dzieci w r. 1837 zamieszkała w klasztorze PP. Benedyktynek we Lwowie, oddana wyłącznie modlitwie i dobrym uczynkom. Gdy syn jéj najukochańszy doznawszy wszystkich pociech i goryczy życia składał Bogu w ofierze swe zbolałe serce, ona utwierdziła go w tém świętém postanowieniu, ona wypłakała, wymodliła dla niego błogosławieństwo Boże w tym nowym zawodzie. Odtąd niczego już nie pragnęła na ziemi, jak tylko aby być mogła na mszy ś. przez syna odprawianéj. Nie doczekała jednak i téj pociechy, na kilka bowiem miesięcy przed jego wyświęceniem na kapłana t. j. w lutym 1844 umarła, błogosławiąc zdala świętéj drodze otwierającéj się przed nim.

3) Starawieś z klasztorem niegdyś Paulinów, a następnie

Jezuitów, w obwodzie sanockim, niedaleko miasteczka Brzozowa.

4) Wspomnienia misyjne z r. 1846.

5) Listy z zakonu i Poselstwo duchowe ku ludziom.

6) Własne słowa ks. Antoniewicza w Listach z zakonu na str. 42.

7) Misyje odbywane na Szląsku pod przewodnictwem ks. Antoniewicza rozpoczęły się w Piekarach niemieckich, gdzie do spowiedzi przeszło 60,000 przystępowało. Następnie odprawiły się misyje w górach tarnowskich, Wożnikach, Biskupicach, Mysłowicach, Ćwiklicach, Pszczynie, Toszku i Bytomiu. Wszędzie pomimo niesposobnéj pory, gdyż był to właśnie czas żniwa, napływ ludu był tak wielki, że kościoły objąć go nie mogły i nabożeństwa odbywały się pod gołém niebem. W ciągu każdéj z tych misyj, odprawiającéj się zazwyczaj przez tydzień, bywało po 8 do 10 nauk dziennie, a lud trwający wiernie pomimo deszczu i upałów letnich, nie mógł jeszcze nasycić się słowem Bożém opowiadaném w mowie jego ojczystéj, polskiéj, którą wśród najnieprzyjaźniejszych okoliczności przechowuje dotąd z rozrzewniającą miłością jako jedyną lepszéj przeszłości spuściznę, i po skończeniu jednéj misyi całemi kompaniami spieszył na drugą.

Łatwo sobie wyobrazić, jakiéjto gorliwości wymagało zadośćuczynienie tak silnie rozbudzonym po-

trzebom religijnym. Podołali téj pracy księża misyjonarze wsparci uczuciem miłości bliźniego, która podwajała ich siły i do coraz nowych pobudzała poświęceń. A pomiędzy nimi odznaczał się ks. Antoniewicz nietylko niezrównaną gorliwością, niepospolitą wymową, pełną świętego ognia i prawdziwie ewangelicznéj prostoty, ale oraz wyłącznym a niepojętym darem jednania sobie serc ludzkich. Sam widok jego, sam dźwięk głosu już poruszał i rozrzewniał zgromadzone tłumy garnące się do niego z taką czcią, miłością i ufnością, jak gdyby na czole jego jaśniała widna każdemu oku aureola świętości, znamię Boskiego jego posłannictwa. Gdy przez tłumy ludu ks. Antoniewicz przeciskał się do kazalnicy, wznosiły się zewsząd głosy wdzięczności i uwielbienia; matki podnosiły ku niemu swe dziatki prosząc, aby je pobłogosławił: każdy cisnął się, aby ujrzeć zbliska drogie oblicze Poczciwego, tak go powszechnie zwano, lub przynajmniéj dotknąć się kraju szaty jego. A święty kapłan, im więcéj dowodów czci powszechnéj odbierał, tém więcéj się uniżał, tém głębiéj upokarzał przed Bogiem, jemu jedynie przypisując cudowne niemal skutki swych prac apostolskich.

8) Pomimo że duchowieństwo, obywatele i lud w wielkiém księstwie poznańskiém powitali z uniesieniem misyjonarzy, na których czele stał kapłan owiany urokiem świętości, znany z nauki, wymowy i gorliwości, misy-

je napotykały tutaj na wielkie przeszkody wynikające z miejscowych stosunków nieprzyjaznych katolicyzmowi. Po wielu zabiegach i staraniach odbyła się nareszcie misyja w Krobi najpomyślniejszym uwieńczona skutkiem. Ożywienie religijnego ducha, pojednanie zaciętych nieprzyjaciół, powrócenie krzywd i kradzieży, usunienie wielu zgorszeń, oto owoce nauk głoszonych wymownemi usty księży misyjonarzy, którym sami protestanci najchlubniejsze oddawali świadectwa. Cokolwiek bądź, misyje szły ciągle oporem wstrzymywane i opóźnione pod rozmaitemi pozorami. Zaledwie zdołano uzyskać pozwolenie na odbycie misyj w Krzywinie, Kościanie, Niechanowie i Baszkowie. Téj ostatniéj jednak zabroniono, pomimo że już zebrało się mnóstwo ludu, pod pozorem cholery, któréj pierwsze wypadki zaczynały się pojawiać na granicach Wielkopolski. Wybuchnęła też wkrótce ta straszna plaga z całą siłą, a misyjonarze rozbiegli się po kraju, wspierając pomocą swoją duchowieństwo miejscowe i dając wszędzie przykłady największego poświęcenia.

9) Obra, niegdyś opactwo Cystersów, na granicy Brandeburgii w obwodzie babimostskim w pobliżu miasteczka Wolsztyna.

10) Podobno Fr. Morawski ułożył ten piękny napis.

11) Niech mi wolno będzie przytoczyć tutaj ustęp, w którym ś. p. ks. metropolita Hołowiński określa charakter

wymowy ś. Jana Złotoustego, gdyż zdanie to znakomitego pisarza w zupełności można zastósować do ks. Antoniewicza i da najlepsze wyobrażenie w wymowie jego.

„Jest rzeczą arcyważną zastanowić się, jaka myśl główna przewodniczyła temu największemu mowcy w chrześciaństwie. Oto zupełne zaparcie miłości własnéj, nie chęć oklasków i sławy, największa miłość tych, do których mówił, najgwałtowniejsza chęć pożytku słuchaczów, co się w każdéj jego mowie dziwnie wyświeca. Ta przeto miłość najsilniejsza była jedynym sterem w nauczaniu, ta rozwinęła pracą wszystkie jego zdolności, ta nie dała mu gonić za czém innéın, jak tylko za pożytkiem słuchaczów, ta wyrobiła dziwny w nim przymiot, że w swojém wysłowieniu przy całéj wzniosłości myśli, obrazów i słów zawsze jest łatwy, jasny i dostępny dla wszystkich; ta go wreszcie ustrzegła od wszelkiéj przesady, od złego gustu, od wyszukanych ozdób, co wszystko rodzi się z próżności, z upędzania się za sławą i z chęci popisu, a nie zbawienia dusz ludzkich. Albowiem w kaznodziejstwie to samo stósuje się, co Chrystus Pan powiedział o duszy, że kto ją straci dla Boga, znajdzie ją, a kto jéj szuka, zgubi ją. Ś. Jan, co nie myślał o wymowie, stał się najwymowniejszym i złotoustym; wdziękiem swym naturalnym przechodzi wszelką sztukę, choć mu jéj

wszystkie tajniki dobrze były znane; w nauczaniu pełen prostoty i jasności, w opisach dziwnie malowniczy, w uczuciach, w upominaniach i zachętach podnosi się do największéj szczytności, do nadzwyczajnéj rzewności i do piorunującéj energii". Homiletyka przez ś. p. ks. Ignacego Hołowińskiego, arcybiskupa mohilewskiego. Kraków, 1850. Str. 124 — 126.

12) Wiersz ten jest wyjątkiem z listu pisanego do K. K. po odczytaniu poematu pod napisem „Stefan Czarniecki". Czas z r. 1852, nr. 177.

13) Pewna matka znajdowała codzień pod popiersiem swego zmarłego dziecięcia liścik wierszem lub prozą pisany w imieniu jéj aniołka życzliwą ręką ks. Antoniewicza, który tym sposobem koił i uświęcał boleść macierzyńskiego serca.

14) Połoniny, łąki zaścielające grzbiety wyniosłych Bieszczadów, gór ciągnących się od Sanu na Pokucie i ku Bukowinie. Połoniny odpowiadają prawie naszym tatrzańskim halom, gdyż tak, jak te, leżą powyżéj górnéj granicy lasów.

15) Poezyja ta napisana w r. 1847 podczas pobytu autora w Pasiecznéj, osadzie huculskiéj, w pobliżu Stanisławowa.

16) Piękna ta piosnka przypomina następującą piosenką Höltego.

Totengräberlied.

Grabe, Spaten, grabe!
Alles, was ich habe,
Dank' ich, Spaten, dir.
Reich' und arme Leute
Werden meine Beute,
Kommen einst zu mir.

Jener Kopf mit Haaren
War vor wenig Jahren
Schön, wie Engel sind;
Tausend junge Fäntchen
Leckten ihm die Händchen,
Gafften sich halb blind.

Weiland gross und edel
Nickte dieser Schädel
Keinem Grusse Dank.
Dieses Beingerippe
Ohne Wang' und Lippe
Hatte Gold und Rang.

Grabe, Spaten, grabe!
Alles, was ich habe,
Dank' ich, Spaten dir.
Reich' und arme Leute
Werden meine Beute,
Kommen einst zu mir.

17) Dobosz jest osobą historyczną. Imię tego opryszka żyje w pamięci i pieśniach górali pokuckich, otoczone tym samym urokiem cudowności, jakim nasi Podhalanie otoczyli postać swego Janoszyka.

18) Kosmacze, wioska huculska, pół mili od Mikuliczyna.

19) Według podania ludu Dobosz tylko od kuli srebrnéj mógł zginąć, poświęconéj w wielki piątek w cerkwi.

20) Huculi srebro nazywają towarem siwym.

21) Sonety przypisał autor znanéj w piśmiennictwie niemieckiém Karolinie Pichlerowéj (ur. 1769, um. 1843 r.).

An

Caroline Pichler, geborene Greiner.

Im tiefen Nord, in weit entleg'ner Ferne,
Da wollt' ich Blumen mir zum Kranze pflücken,
Die spät im Herbst den rauhen Fels noch schmücken,
Wann matt die Sonne glüht und matter noch die Sterne.

Wenn ich's vermöchte, schwach nur auszudrücken,
Was in mir lebt, ich tät' es ja so gerne.
Im Blumenduft, im Glanz der ew'gen Sterne
Glaubt' ich den Wiederschein des Innern zu erblicken.

In einer fremden Sprache hab' ich jezt gesungen.
Doch Lieder sind mit Tönen zu vergleichen,
Die aus dem Schosse der Natur erklungen.

Verschmähen wirst Du nicht dies schwache Zeichen
Der Dankbarkeit für jene wen'gen Stunden,
Die mir so schön bei Dir dahingeschwunden.

Skwarzawa 5. September 1827.

22) Cały ten ustęp układem wierszy i rytmem przypomina mimowolnie ustęp z Schillera pieśni o dzwonie: *Wohltätig ist des Feuers Macht,* itd.

23) Zawarte w tym ustępie myśli przypominają niejeden ustęp z Tiedgego Uranii (1801).

24) Alexander Ypsylanty, potomek znakomitego rodu, wywodzącego swój początek od greckich cesarzów, wsławionego przytém w bohaterskich usiłowaniach podejmowanych dla odzyskania niepodległości, urodził się 12 grudnia 1792. Dziecinne lata spędził w Kijowie; późniéj udał się do Petersburga i wstąpił w szeregi gwardyi cesarskiéj. Z odznaczającém się męstwem i nieustraszoną odwagą odbył kampanią 1812 r.; walczył następnie w Niemczech, gdzie w bitwie pod Drezném 27 sierpnia 1813 r. stracił prawą rękę od kuli działowéj. W Wiedniu mianowany został pułkownikiem i adjutantem cesarza Alexandra I, a wkrótce potem 1817 otrzymał dowództwo brygady huzarów i stopień

jenerałmajora. W podróży z Kijowa do Besarabii dowiedziawszy się o nowych usiłowaniach bohaterskich synów Grecyi w celu zrzucenia hańbiącego jarzma, stanął bez wahania na czele powstania, którzy niestety wkrótce ulegli dzikiéj barbarzyńców przemocy. Nieszczęśliwa bitwa pod Dragoszan 19 lipca 1821 r. niszcząc wszelkie nadzieje walecznych, zmusiła Ypsylantego do szukania schronienia w austryackich granicach. Tutaj atoli ujęto go natychmiast, i jako więźnia odesłano do węgierskiéj twierdzy Munkacza, zkąd w r. 1823 przeniesionym został do Teresienstad w Czechach. W. r. 1827 za wpływem Rosyi otrzymał wolność; ale kilka lat ciężkiego więzienia tak zniszczyły jego zdrowie, że w parę miesięcy potem umarł w Wiedniu 31 stycznia 1828 r. (Dosłownie z rękopisu ks. Antoniewicza, znajdującego się w księgozbiorze P. S. Głowackiego).

319

Spis rzeczy.

Uwaga. Poezyja: *Listki palmowe*, improwizacyja: *Majówka w Orzechówce*, pozostająca dotąd w rękopiśmie, kolendy: 1) *Do Betleem pełni radości*, 2) *W szopce przy żłobie siedzi Maryja*, 3) *Na betleemskim dziś tłumno gościńcu*, 4) *Gwiazdo, Maryjo, niebios posłannico*, tudzież pieśń ułożona dla ludu starowiejskiego: *Na starowiejskiéj dzwon uderzył wieży*, nie mieszczą się w niniejszém wydaniu, gdyż ich mimo wszelkich starań nie było można dostać.